Nr. 289. Lwów — Wtorek dnia 25 Grudnia Rok 1906.

Wychodzi w dni powszed. o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 K. 20 h. w Niemczech . . . 3 „ — w innych Państwach . . . 4 „ —
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 K. Numer kosztuje we Lwowie . 6 h. na prowincyi . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o sądach, o znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 K. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce [illegible] h.
W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo . h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nieprzyjmuje

Dziś: P. Nar. Chrystusa P. — Spirydona | Jutro: Ś. Św. Szczepana M. — Eustracyusza | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca o godz. 7 min. 21, Zachód „ „ 3 „ 28 | Długość dnia godzin 8 min. 7, Przybyło dnia od wczoraj 1 min.

Czas odnowić przedpłatę!
Wynosi ona na prowincyi:
miesięcznie 2 K. 20 hal.
półrocznie 13 „ 20 „
rocznie 26 „ 40 „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 hal.

Rzeczy zakordonowe.

Ukazem carskim zarządzono wybory posłów do Dumy państwowej na 19-ty lutego starego stylu. Ponieważ wedle ordynacyi wyborczej muszą być na miesiąc przedtem dokonane wybory wyborców, przeto będą one przeprowadzone w połowie stycznia podług starego stylu. Niewiele zatem pozostaje czasu na przygotowania przedwyborcze, które powinien wykonać niezłożony jeszcze Komitet Centralny krajowy. A ma on przed sobą ogrom pracy, utrudnionej rosyjskim statutem wyborczym, który orzeka, że posłowie powinni w każdej miejscowości wychodzić z grona tamtejszych wyborców, przyczem koniecznie musi być wybrany najmniej jeden poseł z każdej guberni. To znaczy, że naprzykład w Warszawie może kandydować na posła tylko ten obywatel, którego prawyborcy wybiorą na wyborcę. Tak samo musi być wszędzie. A ponieważ prawyborcami mogą być tylko stali mieszkańcy danej miejscowości i głosować na wyborców wolno im wyłącznie między sobą, przeto z tego wynika, że naprzykład Radomiak nie może kandydować na posła w Warszawie, a Warszawiak w Radomskiem. Wybór najznakomitszych obywateli z całego kraju jest zatem bardzo utrudniony i ściśle rzecz biorąc niemożliwy. Zawsze dostaną się mandaty lokalnym wielkościom, chodzi więc tylko o to, żeby one wśród lokalnych były najlepsze. Ale nadto, co znaczy najlepsze? W Galicyi Koło sejmowe wybiera członków Komitetu Centralnego, które się porozumiewa z komitetami lokalnymi i potem mianuje kandydatów na wszystkie okręgi. W Wielkopolsce komitety okręgowe wybierają delegatów do Komitetu Centralnego, który mianuje kandydatów na posłów z całego kraju. W obu tych krajach Komitety Centralne mogą szukać godnych kandydatów w całym kraju, nawet w całem państwie, i rozdzielić ich na okręgi, wcale się nie krępując względami na to, gdzie stale mieszka i opłaca podatki osobistość, którą wybrać trzeba. Za kordonem nie można tak postępować. Tam Sandomierzanin musi kandydować w Sandomierskiem, Piotrkowianin w Piotrkowskiem, Warszawiak w Warszawskiem i t. d. Zatem, jeżeli Warszawa wybiera dwóch posłów, a ma w swych murach pięciu najznakomitszych w kraju obywateli, to z nich trzej nigdzie nie mogą dostać mandatu. Oprócz tego, jak w Królestwie Polskiem złożyć Komitet Centralny krajowy? Jedynie tylko z delegatów stronnictw narodowych, które stworzyły — jak tam mówią — „blok“, a jak mybyśmy powiedzieli „związek“. Otóż tak złożonemu Komitetowi niezmiernie trudno będzie zgodzić się na to, kto w każdej miejscowości najbardziej godzien mandatu. Dla każdego stronnictwa jego własny członek jest oczywiście najgodniejszym. Gdyby zresztą chodziło o sam wybór kandydatów, to porozumienie byłoby stosunkowo łatwe, ponieważ każde narodowe stronnictwo posiada obywateli powszechnie szanowanych. Ale ponieważ posłowie mogą być wybierani tylko z pośród wyborców, przeto Komitet Centralny musi przedewszystkiem zalecić prawyborcom wyborców, musi więc ułożyć spis kilku tysięcy osób, podzielonych na powiaty i miasta, musi przeprowadzić ich wybór, musi następnie każdej powiatowej grupie wyborców zalecić wybór dwóch delegatów na zjazd gubernialny i wreszcie musi na tym zjeździe wskazać delegatom, komu oni z pośród siebie powinni powierzyć mandat. Z tego widzimy, że rząd petersburski ułożył taki statut wyborczy, iżby wpływ komitetów obywatelskich był jak najbardziej utrudniony i żeby wogóle nie było silnej organizacyi wyborczej. Przy takiem urządzeniu tylko ogromna karność, solidarność i stłumienie osobistych ambicyj, obok rozpowszechnionego pojmowania interesu publicznego, mogą dać w rezultacie grono posłów, złożone z najwybitniejszych obywateli. Olbrzymia tedy praca czeka Komitet Centralny. Zatem wielkich sukcesów spodziewać się nie można.

Na Litwie i Białorusi lepiej stoi ta sprawa. Tam komitety już dawno się potworzyły, w łonie ich z początku były ostre starcia, mianowały one kandydatów, a potem odwoływały te nominacye, i tak gdzie niegdzie było parę razy, aż w końcu przyszło do zgody i dziś wszyscy wiedzą za kim trzeba agitować. W ostatnich czasach stał się w dodatku wypadek, który może być bardzo pomyślny. Jak wiadomo, istnieje na Litwie stronnictwo separatystów, zwane litwomańskiem, które wypowiedziało wojnę tamtejszym Polakom, oskarżyło ich o wszystkie nieszczęścia kraju i żądało od nich, aby szli sobie za Niemen. Otóż główny organ tego stronnictwa, wydawany w Wilnie dziennik litewski *Vilniaus Žinios*, ogłosił teraz po polsku i litewsku odezwę pani Wojniłłowiczowej, która się tytułuje „rodowitą Litwinką, umiejącą tylko po polsku“, a zarzuca litwomanom ciasny szowinizm, który sprawił, że Litwa skurczyła się do całej guberni kowieńskiej, oraz ułamków wileńskiej i grodzieńskiej, podczas gdy cała reszta w części należy do Polaków, a w części do Białorusinów. Tak być nie powinno. Litwa — to całe Witołdowe dziedzictwo. Na tym ogromnym obszarze powinna być jedność, zgoda, wspólny interes. Litwini nie powinni się wyrzekać Kościuszki, Mickiewicza i Syrokomli, lecz przeciwnie niech dążą do sojuszu litewsko-polsko-białoruskiego. „Taki sojusz — oto cicha przystań, oto spokojny grunt, na którym nikt nie będzie miał o co się pienić ze złości!“ *Vilniaus Žinios* wydrukował tę odezwę bez żadnych zastrzeżeń, a więc na jej treść się zgadza. To donośna zmiana, a na skutek nie trzeba będzie czekać, bo Polacy dawno przemawiali za taką ugodą. Oby w Galicyi mogło stać się to samo! Oby jakaś zacna Rusinka wystąpiła z taką odezwą! Oby niektóre nasze dzienniki zaniechały jątrzenia przez miłość kraju, a szacunek dla bratniego narodu, z którym tyle wieków dzieliliśmy wszystko, co nam losy zsyłały!

Rząd rosyjski zamierzył „tymczasowo“ przenieść uniwersytet z Warszawy do Mińska. Oczywiście znaczy to, że on jużby tam nazawsze pozostał, a w Warszawie powstałby z czasem inny — rosyjski, czy polski? — tego na razie nie rozstrzygano. Rektor zamkniętego uniwersytetu warszawskiego p. Erdeli zwrócił się z polecenia ministeryum oświaty, a za pośrednictwem gubernatora mińskiego do tamtejszej rady miejskiej z zapytaniem, czy chce uniwersytetu i co da na jego założenie? Jednocześnie w tej samej sprawie przybył z Petersburga do Mińska prof. Amalickij. Kilka lat temu rząd chciał założyć gdzieś na Litwie nowy uniwersytet, byle nie w Wilnie, jako w mieście zbyt polskiem i pełnem dawnych świetnych tradycyj. Konkurowały wówczas o uniwersytet Smoleńsk, Witebsk, Mohylów i Mińsk, wszystkie przyrzekały coś dać, najwięcej jednak ofiarował Mińsk, bo pół miliona rubli gotówką i znaczny obszar ziemi pod budynki. Ale przyszła wojna z Japonią i o tem zapomniano. Teraz więc znowu zwrócono się do Mińska. Jego rada uchwaliła powtórzyć dawną ofertę, lecz rząd domagał się trzech milionów rubli, po targach zgodził się jednak wziąć grunt, duży gmach szkoły handlowej i milion rubli. Wówczas rada miejska powzięła taką uchwałę: dać grunt, gmach szkoły handlowej, pół miliona rubli, o drugie pół prosić radę ziemską gubernialną, ale wszystko to pod warunkami, że z Warszawy przeniosą się tylko profesorowie, ale fundusze i zbiory pozostaną w tem mieście, albowiem Mińsk nie chce korzystać z cudzej własności — i że na uniwersytet miński będą przyjmowani żydzi nie w takiej liczbie, jaką ustanawia ogólna dla uniwersytetów w Rosyi reguła, t. j. nie maximum 10% wszystkich studentów, ale w stosunku niemniejszym, jak 25 do 30 procent. Profesorowie warszawskiego uniwersytetu, którzy nie chcą spaść z etatu i utracić pensyi, bardzo zabiegają o przyjęcie przez rząd obu tych warunków. Jeżeli to się stanie, w takim razie w jesieni r. 1907-mego zaczną się w Mińsku uniwersyteckie wykłady.

Popi szturmują rząd o pieniądze na podtrzymanie prawosławia na Litwie, albowiem ono wszędzie tam jest w niebezpieczeństwie, a w Grodzieńskiem nawet „rozpaczliwie się chwieje“, jak głosi petersburska *Nowaja Gazieta*. Lud, gwałtem zmuszony w r. 1837-ym do porzucenia Unii dla prawosławia, przechodzi teraz na łono Kościoła katolickiego. Z memoryałem o tem, ułożonym przez konsystorze prawosławne na Litwie, pojechał do Petersburga archijerej grodzieńsko-brzeski Michał. Duchowieństwo żąda pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy na nowe archijerejstwa, klasztory, misye i szkoły cerkiewne. Żąda nadto rewizyi ukazu o tolerancyi. Chętnie żądałoby także nahajki i bagnetów, ale jeszcze nie czas.

Prześladowanie Kościoła we Francyi.

W poprzednim numerze podaliśmy z Paryża depeszę o przyjęciu przez parlament nowej ustawy „o wykonywaniu obrzędów religijnych“. Ustawę tę wniósł minister oświaty i wyznań Briand, przyczem, walcząc z opozycyjną prawicą, rzekł, że ona jest bardziej klerykalną, niż sami biskupi, ponieważ oni w gruncie rzeczy zgadzają się na ustawę separacyjną, a tylko z konieczności ulegania Papieżowi protestują, lecz jednocześnie poufnie proszą rząd, aby ich prześladował, gdyż w przeciwnym razie Papież uzna ich za odstępców. To oświadczenie ministra oburzyło prawicę, która wyszła z posiedzenia, poczem parlament większością 445-ciu głosów radykalnych i socyalistycznych przeciw 117-tu głosom umiarkowanych republikanów przyjął ustawę. Minister Briand popełnił pospolite kłamstwo, dość często dziś używane, skoro chodzi o stosunki ze Stolicą Apostolską. Niedawno berlińska *National Ztg.* doniosła, że w niewydanych pamiętnikach ks. Hohenlohego znajduje się opowieść o żądaniu przez ś. p. Leona XIII pół miliona marek za polecenie katolicko-niemieckiemu centrum, by popierało przedłożenia rządowe. To oszczerstwo roztrąbiły po świecie masońskie dzienniki, ale następnie przemilczały ogłoszenie rodziny ks. Hohenlohe, iż podobnej opowieści nie ma w pamiętnikach. Francuski ministeryalny dziennik *Temps* doniósł, że paryski arcybiskup kardynał Richard oświadczył, iż osoby świeckie mogą się zastosować do ustawy separacyjnej, nie wyłamując się przez to z obowiązku posłuszeństwa Papieżowi w rzeczach wiary, byle w sumieniu swem zachowały wierność Papieżowi. Masońskie dzienniki rozbębniły to doniesienie *Temps*, ale ani słówkiem nie wspomniały, że urzędowy organ x. arcybiskupa Richarda, dziennik *Monde* zaprzeczył tej wiadomości. To samo się stało z oszczerstwem ministra Brianda. Rozpowszechniono je po całym świecie, ale następnie nie powtórzono sprostowania biskupów. Zapewniają oni, że było zupełnie inaczej, mianowicie zaś tak: dla kilkunastu chorych między nimi i bardzo sędziwych, mających po 80 kilka lat, rząd nakazał prefektom zrobić wyjątek, nie wyrzucać ich z biskupich domów, bo ludność mogłaby się wzburzyć. Otóż ci biskupi, dowiedziawszy się o tem, wystosowali listy do ministra, aby nie czynił dla nich wyjątku, bo oni nietylko chcą cierpieć razem z innymi, ale nadto nie chcą wpaść w podejrzenie, jakoby zasłużyli na jakieś względy rządu. Jest to więc zupełnie nie to, co powiedział p. Briand.

Sama zaś nowa ustawa, którą on wniósł do parlamentu, jest taka:

W roku 1881-ym wydano ustawę o stowarzyszeniach. Nakłada ona obowiązek zawiadamiania z góry policyi o każdem zwoływanem zgromadzeniu. Ustawa separacyjna nakazuje katolikom stosować się do tej ustawy z roku 1881-go, jeżeli chcą odprawiać nabożeństwa w kościołach. Ale ustawa z r. 1881-go okazała się niewygodną dla wszelkich stowarzyszeń stałych, które odbywają peryodyczne zgromadzenia. Wydano więc w roku 1901-ym nową ustawę, która orzeka, że stałe stowarzyszenia mogą zawiadamiać policyę o swych zgromadzeniach tylko raz na rok. Otóż minister Briand wniósł nowelę do ustawy separacyjnej tej treści: „§ 1. Wszystkie świątynie katolickie mają pozostać do publicznego użytku, mianowicie do spełniania obrzędów religijnych, jeżeli liczba osób, przepisana ustawą z r. 1881-ego, oświadczy na piśmie, że w tej świątyni chce się modlić. § 2. Obowiązek zawiadamiania policyi może być wykonywany podług przepisu ustawy z r. 1901-go, przyczem zgłoszenie się osób, chcących się modlić, trzeba uważać za istnienie stowarzyszenia stałego. § 3. Osoby, chcące się modlić we wskazanym przez nie budynku, są obowiązane utrzymywać ten budynek w dobrym stanie przez cały rok. § 4. Wszelkie inne budynki kościelne mają być oddane gminom na cele dobroczynne, a gminom wolno je wydzierżawiać na rzecz funduszu dobroczynności. § 5. Kontrakty dzierżawne muszą być zatwierdzane przez prefektów, którzy powinni badać, ażali ta dzierżawa nie jest tylko obejściem ustawy separacyjnej, zakazującej gminom cokolwiekbądź łożyć z funduszów publicznych na cele wyznaniowe. § 6. Xięża emerytowani, którzy na mocy dawnych ustaw pobierają ze skarbu państwowego dożywotnią pensyę, tracą ją, jeżeli się okaże, że pełnią jakiekolwiek religijne obrzędy bez zawiadomienia o nich władzy policyjnej.

Oto cała nowa ustawa p. Brianda. W pierszych trzech paragrafach osłabia ona ustawę separacyjną.

Korespondencye.

Wiedeń, 22 grudnia.

(Bierny opór służby pocztowej. Niesumienność agitatorów. Położenie materyalne strejkujących funkcyonaryuszy. Ewentualne zarządzenia dyrekcyi poczt. Bank budowniczych i kamieniarzy. Rewersy osób poddających się operacyi w szpitalach).

(y). Cała ludność Wiednia do żywego oburzona jest na służbę pocztową niższych kategoryi, która posłuszna komendzie socyalistycznych agitatorów, rozpoczęła osławiony „bierny opór“, by tym nieuczciwym sposobem walki zmusić rząd do podwyższenia jej poborów służbowych. Tymczasem na razie całe to złośliwe przedsięwzięcie odbija się nie na rządzie, lecz tylko na publiczności, gdyż doręczanie przesyłek pocztowych doznaje znacznego opóźnienia, a wczoraj np. wieczornej poczty wcale nie roznoszono. Dla kupców, przemysłowców, banków i wszelkich wogóle przedsiębiorstw publicznych takie opóźnienie ruchu pocztowego jest bardzo szkodliwe i spowodować może dotkliwe straty, bo odpowiedzialność sądowa za opóźnione doręczanie przesyłek spada wyłącznie na strony, a nie na zakład pocztowy, przyczem w razie procesów, sądy nie uznają biernego oporu służby pocztowej jako *vis maior*, podobnie jak to czynią w procesach z powodu strejków. Poczta nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności za szybkie doręczenie przesyłki. A zatem urządzając bierny opór, działają sługi pocztowi wprost na szkodę publiczności, która utrzymuje ich swym groszem podatkowym.

Przytem grubo przesadzone są skargi strejkujących funkcyonaryuszy na ich rozpaczliwe położenie materyalne. Oczywiście, że na zbytki sobie pozwalać nie mogą, ale w tem samem położeniu co oni, są tysiące innych funkcyonaryuszy publicznych, mających studya uniwersyteckie, a niejeden oficyalista w prywatnej służbie, niejeden rzemieślnik, kupiec i przedsiębiorca, zazdrości może woźnemu pocztowemu lub telegraficznemu jego pozycyi. I gdyby dzisiaj rząd ogłosił, że rozpisuje konkurs na wszystkie posady woźnych pocztowych, toby się zgłosiło tylu ludzi ze swobodnych zawodów, że na każdą posadę listonosza byłoby kilku kandydatów.

Agitatorzy socyalistyczni wmawiali w służbę pocztową, że rząd będzie musiał skapitulować przed nią i spełnić jej żądania, gdyż ona właściwie ma rząd w ręku i bez niej nie da sobie zarząd pocztowy rady. Tymczasem jest nadzieja, że może przecie wstąpi jakaś energia w wyższe sfery ministerstwa handlu, i że może nie ulegnie rząd tym razem tej presyi socyalistycznej. Utrzymują więc, że tutejsza dyrekcya poczt przygotowała już zarządzenia na wypadek, gdyby opór bierny miał potrwać dłuższy czas. Przedewszystkiem tedy listy będą wybierane nie co pół godziny, jak to ma miejsce obecnie, ale co godzinę, następnie rozsyłka listów na miasto, która odbywa się siedm razy dziennie, odbywać się będzie tylko cztery razy, stampilia pocztowa na listach nadchodzących do Wiednia, nie będzie wcale przybijana, a w południe zamknięte będą urzędy pocztowe przez parę godzin. Wreszcie powoła zarząd pocztowy do służby tak zwane „rezerwy“. Składają się one z rzemieślników i rozmaitego rodzaju sezonowych robotników, którzy w okresach zwiększonego ruchu pocztowego, zwłaszcza przed Bożem Narodzeniem i przed Wielkanocą zatrudniani bywają na poczcie za opłatą dzienną. W razie potrzeby potrafią oni w zupełności zastąpić strejkujących, gdyż są dosyć dobrze wyćwiczeni w manipulacyi pocztowej.

Budowniczowie i kamieniarze wiedeńscy zamierzają założyć własny bank i wybrali już komitet, mający poczynić przygotowania ku temu i wystarać się u władzy o koncesyę. Kapitał ma być zebrany przedewszystkiem przez wydanie akcyi zakładowych na sumę 5 milionów koron, opiewających nie na okaziciela, lecz na nazwisko, i te akcye znajdować się mają tylko w posiadaniu członków stowarzyszenia budowniczych i kamieniarzy, nadto zaś w razie potrzeby wypuszczone zostaną aż do sumy 50 milionów koron akcye, opiewające na okaziciela. Zakres działania tego nowego banku ma być bardzo obszerny. Utrzymywać ma on dla swych członków składy żelaza i innych materyałów budowlanych, by w ten sposób uchronić ich bodaj częściowo od wyzysku karteli i regulować ceny tych materyałów. Udzielać będzie swym członkom kredytu, eskontować będzie ich pretensye książkowe i składać za nich kaucyę. Na całkiem pewne hipoteki udzielać będzie pożyczek w listach zastawnych. Wreszcie interweniować ma przy strejkach, bojkotach i lokautach, a z czystych zysków stworzyć ma fundusz pensyjny dla wdów i sierót po budowniczych i kamieniarzach.

Ze względu na to, iż coraz częściej zdarzają się wypadki, że chorzy, operowani przez lekarzy, wnoszą następnie przeciw nim skargi sądowe z powodu nieumiejętnego leczenia, postanowiły zarządy wszystkich szpitali wiedeńskich, że odtąd chory, zanim podda się operacyi, podpisać ma rewers, w którym oświadcza, że sam żąda, aby na nim wykonano operacyę i z góry zrzeka się wszelkich pretensyi na wypadek, gdyby operacya się nie udała. Jeżeli operowane ma być dziecko, to taki rewers muszą podpisać jego rodzice lub opiekunowie.

Przemysł bawełniany w Galicyi.

Pod hasłem uprzemysłowienia kraju wysila się garstka zapobiegliwych ludzi na stworzenie przędzalni mechanicznej w Galicyi, aby budzącemu się przemysłowi tkackiemu ułatwić jego zadanie. Jednakowoż wyłaniają się na tej drodze okoliczności natury ekonomicznej, ogromnie trudne do zwalczenia.

Rozpatrywano tę kwestyę na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa politechnicznego z okazyi wykładu o „teoryi samoprząśnicy obrączkowej“. Zajmujący ten dla naszych fachowców wykład wygłosił inżynier Antoni Humnicki, opierając go na studyach dzieł Gegauf'a, Alcana, Dierżawina, Wasiliewa i na własnych spo-

---

4)

Stefania Marsowa.

Listy do Ciebie...

(Ciąg dalszy).

I znów drugi obraz stanął mi w myśli —

Było to — w ile?... w pięć miesięcy od naszego poznania. Wieczór jesienny i mglisty. Chodziliśmy długo razem po oświetlonych ulicach — byłeś tego wieczoru więcej smutny i nerwowy, niż zwykle. W końcu chciałeś już iść do domu. Mimo protestów, tym razem ja odprowadzałam cię. — Doszliśmy przed bramę — tak żal mi było odejść — wyszłam jeszcze na schody. A wtedy ty otworzyłeś twe drzwi i począłeś prosić bym weszła — na chwilę — na odpoczynek — mówiłeś — przecież chyba nie jestem taką formalistką, żebym nie chciała na minutę przekroczyć twego progu. Opierając się, weszłam — ja ci nigdy niczego odmówić nie umiałam. —

Na twoim kominku był ogień. —

Czerwonawe światło rozlewało się po pokoju. Nerwowym niepokojem zdjęta, chciałam uciekać, aleś mnie siłą przytrzymał i posadził w fotel — a potem, klęknąwszy przedemną, całowałeś mi ręce, stopy, brzeg sukni, i nagle począłeś mówić zmienionym głosem:

— Elu, bądź moją! bądź moją!...

We mnie buchnęły nagle wszystkie tętna jak dzwon na alarm. —

— Nie, nie — szeptałam bezdźwięcznie, broniąc się od twych obejmujących mnie rąk —

— Elo, moja jedyna — moja jedynie ukochana — błagałeś.

Miałam wrażenie, że odjęto mi nagle władzę w całem ciele — powieki biły gwałtownie — słyszałam nasze oddechy, krótkie i przyśpieszone — — —

Wracałam do domu z chaosem myśli pod czaszką — a dziwnie bezmyślnie zarazem —

— A więc stało się — stało się — powtarzałam sobie.

Wydawało mi się niepojętem, że ulicą płynie zwykły ruch — że światła w niczem nie bledsze — że wogóle wszystko idzie normalnym trybem —

Zdawało mi się, że stała się przecież rzecz niepojęta — że ludzie będą zatrzymywać mnie chyba i pytać surowym, sędziowskim głosem: gdzie byłam! że będą za mną kamienie padać — za mną, kobietą upadłą! „Kobieta upadła“, sam dźwięk tych słów mnie przerażał!

Nie wiem jak i kiedy dojechałam do domu. Roman był w wyjątkowo dobrym humorze. — Opowiadał mi z przejęciem o jakimś niezwykle utalentowanym studencie, którego przypadkiem odnalazł. —

Starałam się słuchać i być rozmowną — ale jego dobry humor był dla mnie męką.

— Gdybyś wiedział! gdybyś wiedział!... — mówiłam sobie. — Zdawało mi się, gdy wymawiałam proste odpowiedzi, że to mówię nie ja — jakiś szklany, łamiący się co chwila głos. — Wreszcie mogłam odejść do swego pokoju. —

Przesiedziałam tę noc w fotelu. — Mój Boże! Ileż ja się nocy przedręczyłam, zanim doszłam do ustalenia w sobie tych pewnych przekonań życiowych, bez których nie byłabym w stanie żyć.

Nazajutrz pojechałam z tobą o zmroku do Prateru. Widziałeś moją bladą twarz i moje zgnębienie i trzymając moje dłonie w silnym uścisku, począłeś mi tłómaczyć spokojnie i jasno, że nie powinnam tak rozpaczać, — że ten przerażający mnie grzech był rzeczą konieczną i nie był grzechem — jest rzeczą dobrą. Mówiłeś, że miłość jest ponad wszelkie ludzkie prawa — że musi je zawsze złamać, skoro jest prawdziwa i silna — że to było konsekwentną koniecznością, że jestem twoją, bo cię kocham — że to, że należę do ciebie, jest mojem i twojem prawem, bo nas łączy miłość — a bezprawiem jest tylko należenie do nie kochanego człowieka!

Że tylko trochę czasu i cierpliwości, a zdołasz sobie wyrobić stanowisko niezależne — a wtedy zabierzesz mnie z sobą daleko — daleko — na zawsze!

Nie odrazu przekonałeś mnie, jedyny! Przemyślałam długie dnie — długie bezsenne noce, zanim się dokonała we mnie zmiana przekonań.

Widzisz, ja byłam wierząca — wychowywana w tradycyach, które szły z pokolenia na pokolenie. Wiarę ssałam z mlekiem matki — podług niej uformowały mi się pojęcia. — Później nieraz rozum buntował się ciasnym formułom. Ale tak mi wbili w mózg, że co religia nakazuje, jest dobre — a co zakazuje, jest złe — że poddawałam się nieznanym prawdom. Tyś we mnie zerwał tamę — i odtąd poczęły myśli płynąć zrazu wąskim nieśmiałym potokiem — potem coraz szerzej, śmielej, aż wreszcie wezbrały rzeką i szły mocne, jasne, dumne.

Tak, masz racyę Stefanie — to nie jest złem. Miłość ma najwyższe prawa, bo miłość, to prawo natury. — Natury władczyni, natury twórcy — natury żywiołowej siły. Niezawodnie musieli ludzie unormować naturalny bieg przyrody — ale nie dlatego, by ona była złą, tylko że ludzie nie umieli się do jej królewskiej wielkości dostroić. — Byli jak te łakome dzieci, co objadają się łakociami u zastawionego stołu — a potem chorują z objedzenia.

Prawa muszą być — prawa dla tłumu. — Hamowidło. — Ale są dusze, co nie znoszą hamulca — dusze, których bogiem jest piękno. — Nie przeje się esteta, bo mu na to nie pozwoli wkorzeniony, nieprzełamany wstręt do ohydnych następstw przejedzenia. Gdy zasiądzie do stołu, na którym podają dania podług menu — weźmie jednej potrawy, nie skosztuje drugiej. Ale za to zdejmie z kryształowego klosza winogrono, i spożyje ze spokojem.

Musi być jednak zabronione samowolne branie ze stołu, boby się wnet wywiązała walka tłumu — a potem przejedzenie.

Człowiek kultury ma w sobie głębokie poczucie zła i dobra. — Poczucie to spętane jak niemowlę pieluchami, wtłaczanych nam od dzieciństwa form i zasad. — Mimo to tkwi w nas silnie — bo gdy nas odlatuje wiara, gdy staniemy oko w oko z swą nagą duszą — znajdziemy tam jasne pojęcie etyki — innej — nie tej prawnej — ale tem samem niemniej silniej i obowiązującej.

I dziś wierzę, jedyny, że nie zrobiłam źle, należąc do ciebie — było to moje prawo — nasze prawo — rzecz moja własna i czysto osobista. Nie zabrałam nic mężowi — miłości mej nie miał nigdy, uczucia przyjaźni, jakie mam dla niego, miłość ta nie osłabiła.

Zrobię mu krzywdę odchodząc — ale trudno, to jest tragizm życia — jego sytuacya bez wyjścia. — A zresztą! on i tak mało mnie ma — studya, wykłady, praca pochłaniają mu cały czas — dla mnie zostaje go tak mało — zapomni!

A mój syn?... to jest jedyna kwestya, o której nie śmiem myśleć — dla której rozwiązania nie mam. Do czasu mi go dadzą, a potem wolno mi go będzie tylko dorywczo widywać. Jego ojciec jest rozumny, i wiem, że na to pozwoli — ale i tak trzeba go będzie potem oddać...

Nie — nie jestem w stanie o tem myśleć — jeszcze kilka lat — potem — potem.

Nie zastanawiać się!...

Ach! jak jestem zmęczona — poco ja znów to wszystko przemyśliwam — już tak dawno — dawno uporządkowałam na tym punkcie moje myśli. — Ogień dogasa, coraz mroczniej w pokoju — czegoś się boję Stefanie — a jednak — jednak — czy to wszystko jest istotną prawdą?...

(Ciąg dalszy nastąpi).

strzeżeniach w praktyce przędzalnianej, której się p. Humnicki oddawał przez dłuższy czas w Rosyi, a przejściowo także w Anglii i Francyi.

Zanim materyał włóknisty dostanie się na warsztat tkacki, musi on przejść przez wiele innych maszyn, wykonujących czynności przygotowawcze. Włókno trzeba najpierw przesortować podług wartości gatunku. Im dłuższe są pojedyńcze włókna, tem silniejsze będzie przędziwo, zatem większa będzie wartość produktu końcowego. Stosunki handlowe wymagają wielkiej rozmaitości w cenach gotowej tkaniny; aby więc uzyskać tę rozmaitość w cenach, trzeba bardzo starannie przesortować materyał włókna w stanie pierwotnym. Wysortowany produkt nie jest jeszcze gotowym do przędziwa, gdyż zawiera cząstki ciał niewłóknistych, które w przędziwie zawadzałyby i pogarszały jakość nitki. Żądamy bowiem, aby nitka była mocna, jednostajna w grubości i elastyczna. W tym celu poddaje się włókno operacyom czyszczenia, zależnym od natury materyału i stopnia jego zanieczyszczenia. Inaczej czyści się jedwab i wełnę, inaczej zaś jutę, bawełnę, konopie i t. p. Czyszczenie niektórych materyałów jest tak skomplikowane, że specyalne zakłady (fabryki) uskuteczniają tylko jeden specyalny rodzaj z całego szeregu zależnych od siebie operacyi. Naprzykład wełnę owczą potrzeba przedewszystkiem uwolnić od tłuszczu. Takie odtłuszczenie wełny wymaga osobnego urządzenia, którego instalacya i techniczne wykonanie daje aż nadto zajęcia wielkiej, umyślnie w tym celu zbudowanej fabryce.

Widzimy więc, że przędzalnia, choćby tylko jednego rodzaju włókna, jak bawełny albo wełny, daje impuls do powstawania całego szeregu zakładów przemysłowych i wytwarza ów znamienny ruch przemysłowy, charakteryzujący pewne kraje i okolice. Jeszcze w wyższym stopniu wiążą się ze sobą stadya fabrykacyjne podczas przeróbki przędziwa na tkaninę i tkaniny na przedmiot codziennego użytku. Zdrowotność warunków przemysłu i dobro ekonomiczne kraju jednoczą się w ideale, aby wszystkie stadya fabrykacyjne, które przechodzi materyał surowy, zanim przybierze postać przedmiotu użytkowego, wykonywały się w zakładach skoncentrowanych obok siebie, a położonych jak najbliżej miejsca produkcyi materyału surowego i miejsca ostatecznego zbytu. Wszelki transport podraża towar.

Weźmy pod uwagę przemysł bawełniany i zastanówmy się, o ile Galicya zbliża się do tego ideału. Bawełna u nas nie rośnie. Głównym producentem bawełny jest Ameryka. Ona dostarcza więcej niż trzy czwarte części wszystkiej bawełny, jaką się w Europie przerabia. Klimat i stan kulturalny ludności amerykańskiej na początku ubiegłego wieku przyczyniły się do tego, że plantatorzy bawełny zmuszeni byli wywozić swój produkt na rynki europejskie. Kiedy żegluga parowa stanęła już na swej wysokości i przewóz przez Atlantyk był ułatwiony, plantatorzy amerykańscy walczyli jeszcze z trudnościami, jakich im przysparzały bunty mas robotniczych, rekrutujących się przeważnie z dawnych niewolników, a w Stanach Zjednoczonych technika mechaniczna przechodziła wiek swego dzieciństwa. Plantator czuł się szczęśliwym, gdy mu jakiś spekulant kupił produkt na pniu i nie potrzebował troszczyć się o dalsze jego losy; bawełna zaś sama była tak tania, że po wliczeniu kosztów przewozowych przez Atlantyk, cena jej konkurowała skutecznie z cenami wełny i lnu. Zrazu korzystała z tego głównie Anglia, obfitująca w węgiel i stal, te dwie najważniejsze podstawy przemysłu. Tkaniny bawełniane angielskie zalały w połowie ubiegłego stulecia prawie całą zachodnią Europę i do dzisiaj uchodzą jeszcze za najlepsze.

Zwolna obliczały się i inne państwa z sumami, które za tkaniny bawełniane szły do Anglii, i poczęły popierać przemysł bawełniany u siebie. Rzecz była na razie dosyć łatwa. Długa droga przez Atlantyk ma już to do siebie, że różnica pomiędzy dowozem do portów angielskich, a dowozem do jakiegoś innego portu europejskiego nie była tak znaczną, aby wpływać zbytecznie na cenę wyładowanej bawełny, zresztą małą tę różnicę wyrównuje się cłem ochronnem od towarów przerobionych. Tak więc prawie wszystkie państwa europejskie wytworzyły u siebie swój własny przemysł bawełniany. W monarchii austryackiej skoncentrował się ten przemysł w Czechach i na Morawii, a to prawie wyłącznie kosztem Galicyi i Bukowiny.

Ocknęliśmy się z tego bardzo późno, bo dopiero teraz, gdy spekulacya w handlu bawełną zmonopolizowała niemal ten surowy towar i odebrała nam możność sprowadzenia go do siebie po cenie, przy której przemysł przędzalniany i tkacki mógłby prosperować.

P. Humnicki podniósł w dyskusyi nad swoim wykładem, że stosunki klimatyczne w głębi Rosyi, gdzie przemysł bawełniany wysoko się rozwinął, o wiele są gorsze, aniżeli u nas w Galicyi. Przędzenie i tkanie bawełny wymaga pewnego stopnia wilgotności w powietrzu. Środkowa Rosya jest w miesiącu styczniu i lutym zanadto sucha, wskutek czego zakłady tamtejsze inwestują ogromne kapitały na urządzenia, regulujące stan wilgotności i ciepłoty w powietrzu. U nas byłoby to niepotrzebne, tylko musimy się postarać o to, aby produkt surowy, zmonopolizowany w pewnej mierze przez spekulantów czeskich i morawskich, mógł się do nas dostać po cenie przystępnej.

Najmniejsza przędzalnia, jaka w naszych stosunkach mogłaby liczyć już na powodzenie, musiałaby być urządzoną na 10.000 wrzecion i wymagałaby kapitału zakładowego w sumie 700.000 do miliona koron. Dla skuteczności konkurencyi zaleca się system samoprząśnicy obrączkowej, a teoryę jej budowy objaśnił p. Humnicki przed audytoryum naszych fachowców szczegółowo. Samoprząśnica obrączkowa jest to ulepszony przyrząd, który przesortowane i oczyszczone włókno bawełniane wyciąga, skręca i nawija w kopki, gotowe już do użycia w warsztacie tkackim. Włókno, ułożone w watę, trzeba najpierw podprząść, czyli ułożyć w nitki prowizoryczne. Taką nić, o włókienkach pokurczonych, a nierówną jeszcze w swej grubości, wprowadza się pomiędzy system walców o trzech parach. Każda para ma inną prędkość obrotową; pierwsza para ma prędkość obrotową najmniejszą, ostatnia największą. Naturalnie różnica w tych prędkościach wynosi tylko część jednego obrotu. Skoro każda następna para walców pociąga prowizoryczną nitkę szybciej nieco, aniżeli ją poprzednia para oddaje, więc pokurczony pierwotnie niedoprzęg, czyli prowizoryczna nitka, rozciąga się i wyrównuje. Ciągnienie każdej pary walców przy średniej prędkości 120 obrotów na minutę wynosi kilka kilogramów. Pod działaniem tej siły rozkurcza się nitka w przeciętnym stosunku 6:8. Równocześnie z ciągnieniem wykonuje przyrząd, zwany biegnikiem albo skoczkiem, mający kształt podkowiasty, taki ruch, że podkręcone trochę poprzednio włókno skręca się w jednostajną nitkę, a wrzeciono nawija gotową nitkę na tutkę papierową, tworząc w ten sposób kopkę, czyli cewkę. Szybkość obrotowa biegnika i wrzeciona wynosi około 8000 obrotów na minutę. W tej ogromnej prędkości obrotowej mechanizm musi być tak dokładnym, ażeby biegnik pozostawał zawsze o jeden obrót w tyle po za wrzecionem, a ponieważ długość obrotowa na wrzecionie wskutek jego owalnego kształtu jest nie jednostajna, więc teorya budowy tych części mechanizmu jest trudną i wymaga w zastosowaniu doświadczenia konstrukcyjnego. Prelegent okazał w swoim wykładzie tej teoryi zdumiewającą znajomość rzeczy i talent prelekcyjny, to też licznie zgromadzeni fachowi słuchacze nagrodzili go hucznymi oklaskami. Szczególniejszą wdzięczność zaskarbił sobie prelegent także tą okolicznością, że w wykładzie swoim dał wyjaśnienia, oparte na bogatej osobistej praktyce w dziedzinie najmniej u nas znanej, a bardzo aktualnej.

P. profesor Pawlewski podniósł w dyskusyi myśl, czyby nie można było sprowadzić do Galicyi surowca bawełnianego ze środkowej Azyi (Turkiestanu), który w Rosyi coraz więcej ma zbytu. P. Humnicki nie rokuje w w tym kierunku wielkich nadziei, gdyż stosunki plantacyjne w Turkiestanie nie są zbyt pomyślne z powodu braku wody, a gatunek tamtejszej bawełny, jak również jej obfitość, nie zaspokajają nawet potrzeb przemysłowców w środkowej i południowej Rosyi, które są najbliżej położone. Przedmiotem wielkiego niepokoju jest też zainicyowana przez Stany Zjednoczone wojna bawełniana z Anglią. Ameryka północna robi coraz energiczniejsze zabiegi, by nie przepuszczać przez Atlantyk bawełny surowej, lecz zamieniać ją u siebie na przędzę, ewentualnie nawet na tkaninę, a dopiero ten towar wysyłać na rynki europejskie i pozbawić je lwiej części zarobku, uzyskiwanego przez wspomnianą przeróbkę. Dlatego to Anglia proteguje z wielką pieczołowitością plantacye bawełny w Egipcie i Australii i spodziewa się w kilku latach pozbyć się zależności od spekulantów amerykańskich. Bawełna egipska jest pod względem jakości najlepszą, bo ma włókna o średniej długości 35 milimetrów, podczas gdy inne najlepsze gatunki mają włókna tylko na 25 milimetrów długie.

Ze względu na ogromne sumy, jakie kraj nasz wysyła corocznie poza swe granice za towary bawełniane, bez których bądź co bądź obejść się nie można, sprawa przędzenia i tkania bawełny w Galicyi jest niezmiernie piekącą i wymaga jak najprędszego rozwiązania.

Powstanie polskie w r 1912.

Wielką sensacyę wywołała w Niemczech świeżo wydana w Lipsku książka niejakiego p. Bundschuha, pod tytułem „Die Revolution von 1912". Jest to w formę powieści ujęty fantastyczny obraz przyszłego rozwoju społecznych i politycznych stosunków Niemiec i Polaków w Rzeszy niemieckiej — rzecz skreślona bez żadnego talentu, dla tendencyi mocno naciągana, a napisana przez hakatystę, lub z polecenia hakatystów, dla wykazania, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi Niemcom ze strony Polaków. Rzecz ta niema najmniejszej wartości literackiej, robiona jest naiwnie i raczej mogłaby być uważana za satyrę, niż za broszurę polityczną, niemniej jednak na niewyrobione politycznie mózgi może ona podziałać i pobudzić je do jeszcze więcej zaciętej walki z Polakami.

Treść tej broszury jest następująca:

W oznaczonym czasie Wilhelm II ulegnie chorobie. Aż do swej śmierci będzie prowadził politykę „żelaznej pięści" i „buta kirasyerskiego", szczególniej wobec socyalnej demokracyi, którą całkowicie pogromi. Kanclerzem będzie wówczas hr. Kröcher, a komendantem m. Berlina generał Deimling. W całych Niemczech północnych srożyć się będzie rewolucya anarchistyczna, którą Wilhelm II zgniecie. Wilhelm III będzie prowadził politykę pojednania; Posadowsky powróci do władzy i obejmie tekę kanclerską. Z tej ugodowej polityki skorzystają Polacy, aby urządzić powstanie. O ich zamiarach wiedzieli oddawna wszyscy rozsądni politycy niemieccy. Nie daremnie naród ten przez długie lata pokoju wytrwale i bezustannie pracował nad swem odrodzeniem. Do ubezwładnienia Polaków przyczynił się swego czasu niemało brak świadomego celu mieszczaństwa. Tę zaporę dawno oni już pokonali. Mają teraz swych kupców, zamożnych rękodzielników, bankierów i zasobnych chłopów. Niema już u nich różnic kastowych, rozdziału między szlachtą a ludem. A ów lud wdarł się zwycięsko na zachód; mianowicie, mimo wszelkich usiłowań zgniecenia go, podbił największą część prowincyi poznańskiej, Szląska górnego i Prus zachodnich, a bynajmniej nie niepokaźne zastępy swych synów wyprawił aż w samo serce Niemiec, do Berlina, a nawet na najdalszy zachód rzeszy niemieckiej, nad brzegi Renu.

„Myliłby się, ktoby sądził — pisze autor — że dźwignięcie się Polaków jest jakimś sporadycznym, nagle wybuchłym ruchem. Wszystko przez nich było obmyślane aż do ostatniej kropeczki. Przez dziesiątki lat przygotowywali się oni do tego, co teraz miało nastąpić. Odbywano narady, spiskowano, gromadzono pieniądze i przeprowadzano prace organizacyjne. Ze wzrostem potęgi polskiej w Galicyi przesunął się tam, naturalnie, środek ciężkości organizacyi polskiej. Lecz nie Kraków, prastary gród królewski, który jako republika jeszcze w w. XIX był reprezentantem niepodległości, polonizmu, ale Lwów ze swem szybko rozwiniętem życiem akademickiem. To miasto stało się wszechnicą młodych, światłych żywiołów narodowo-politycznych. Tu też rozbudziło się silne ożywienie literackie, skutkiem czego Lwów stał się środowiskiem modnego młodo-polskiego obrotu księgarskiego. Całkiem niewątpliwie Galicya byłaby w tem wszystkiem odegrała jeszcze wydatniejszą rolę (bo skutkiem istotnej mocy, jaką polskość tam posiadała, byłaby ku temu predestynowaną), gdyby nie... *„die alte, verderbliche Schlachzizenwirtschaft, die mit einer gewaltigen Korruption der Adelskreise zusammenhieng, den wirtschaftlichen Aufschwung gehemmt hatte"*.

Jak widzimy, autor szczerze nienawidzi szlachty polskiej i po myśli pruskiej hakaty radby on ją sprzątnąć z powierzchni ziemi.

P. Bundschuh pisze dalej o Królestwie. Ono po ostatniem powstaniu przez dziesiątki lat było jakby martwem. A przecież to kraj o wspaniałej przeszłości, a może i przyszłości, ale w rzeczy samej bez teraźniejszości. Dopiero wielka rewolucya rosyjska ocknęła Królestwo ze snu, i z autonomią, którą Polska otrzymała ostatecznie w r. 1909, stanęło znowu w szeregu czynników politycznych.

Polacy „pruscy" gorzej się mieli pod względem politycznym od reszty swych rodaków. Stali się atoli niepomierną potęgą w dziedzinie gospodarczej. Na ogół zatem stosunki we wszystkich trzech dzielnicach dawnej Polski ułożyły się dla Polaków bardzo pomyślnie i w r. 1912 dojrzały do wybuchu powstania. Polacy nie mogli doczekać się stosowniejszej ku temu chwili...

Jakże więc przyszło do wybuchu? Streśćimy tu pokrótce to, co wytworzył w swej wybujałej fantazyi rzecznik hakaty.... Na wiosnę roku 1912 panował niezwykły ruch na granicy. Emisaryusze z Królestwa i Galicyi nadciągali licznemi grupami jako werbownicy i agenci. Graniczne miejscowości roiły się od cudzoziemców. Nawiedzali oni pałace i dwory, probostwa i sklepy. Widziano ich, jak przypijali do chłopów i gawędzili z nimi. Pełno ich było w miastach prowincyonalnych w Poznańskiem i w centrach przemysłowych Szląska. Władze wiedziały o wszystkiem, ale nie mogły złemu zapobiedz. Wszak ci cudzoziemcy nie przemawiali na zebraniach, nie urządzali tumultów, a papiery ich były w jak największym porządku.

Dwa były główne środowiska akcyi powstańczej: Września i Mysłowice, leżące blisko granicy i mające doskonałe połączenia kolejowe z Rzeszą...

Było to w sobotę, 30 marca — przepowiada p. Bundschuh — gdy pieszo, wozami i kolejami nadciągały istne pielgrzymki ludu do Wrześni. Koło południa miasteczko było niezwykle ożywione. Nietylko hotele, ale i domy prywatne roiły się od przybyszów. Major von Kameke, komendant stacyonowanego we Wrześni 3 batalionu p. p. hr. Kirchbacha odbył naradę ze swym adjutantem, por. Mense; mówiono o sytuacyi. Major zapatrywał się na stan rzeczy optymistycznie. Stosunków nie znał gruntownie, bo go tam przeniesiono niedawno z Hannoweru. Mówił on, że przy pomocy jednego batalionu można i wielkie miasto utrzymać w karbach, tem bardziej taką Wrześnię, z jej 7000 mieszkańców. Mense natomiast twierdził, że położenie Prusaków jest groźne.

— Hören Sie nur, Herr Major. — Oto tam ciągnie zastęp młodzieży. Słyszy pan, co oni śpiewają?

— Was ist's denn?

— Verzeihen, Herr Major, to pieśń czysto polska; brzmi ona w przekładzie: *„Noch ist Polen nicht verloren!"* Hören Sie nicht: *„So wie Czarniecki nach Posen"*, war auch *„Dombrowski auf dem Marsch"* — i to samo chcą teraz, po przeszło 100 latach, powtórzyć ci młodzi ludzie.

Major wyszedł z równowagi. Po namyśle wydał odpowiednie rozkazy: „Feldmarschmässig, scharfe Patronen" itd.

Gdy por. Mense dążył z rozkazem do koszar, ujrzał w drodze dom gościnny, otoczony wozami, na kształt twierdzy. Dokoła tłum mieszczan miejscowych i szlachty okolicznej. Stali w trzech rzędach przed gospodą niemal nieruchomo. Na froncie siedzieli przy stołach najwybitniejsi ziemianie i rozprawiali z wielkiem zajęciem. Gdy p. Mense przechodził tamtędy, powitano go uprzejmie, ale nie bez szyderczego uśmiechu, którego Niemiec nie mógł nie dostrzedz.

Do majora przybył „landrat" wraz z innymi Niemcami, przynosząc wieści alarmujące. Opowiadał, że przed gospodą jakiś człowiek w czamarce i konfederatce wygłosił mowę płomienną. Inny rozwinął chorągiew biało-amarantową z orłem białym, co wywołało wśród zebranych wielki entuzyazm. Potem wystąpili dwaj zbrojni obywatele (*Schlachzizen*) z sąsiedztwa, a za nimi uzbrojona służba dworska. Następnie zjawił się wielki tłum szlachty z pałaszami i karabinami, wybitni mieszczanie i mnóstwo chłopów zbrojnych, wszyscy w polskich strojach narodowych i ludowych.

Uciszyło się, gdy na mównicy stanął jeden z przewódców ruchu polskiego hr. Rydzyński, i krótko, zwięźle, a ogniście mówił o doniosłości chwili, w której mogą się spełnić najgorętsze życzenia wszystkich Polaków; mówił o ojczyźnie ich, która jak Feniks odradza się z popiołów. W imię narodu i jego przewódców, którzy rządy prowizoryczne złożyli w ręce hr. Mielżyńskiego, wezwał wszystkich szczerych patryotów do powstania.

Z niesłychanym zapałem przyjęto te słowa. Rozchwytano przyniesioną broń i odznaki biało-czerwone. Tuż koło fortecy z wozów zajęli miejsce szeregowcy *„des Sokolvereins"*, *„lauter stramme, schneidige Gestalten"*, przeważnie wysłużeni żołnierze, wprawieni w gimnastyce i władaniu bronią. Za Sokołami mieszczanie i chłopi. Poczyniono podług wszelkiej formy przygotowania wojenne, a „warownię" otoczono na sposób japoński drutem kolczastym. W kilku miejscach poustawiano barykady.

Niepodobna tu w całej rozciągłości powtarzać opisów pierwszej utarczki. Dość, że Polacy sprawowali się dzielnie. W chwili krytycznej zjawiła się na barykadzie nieustraszona hr. Rydzyńska, która celnym strzałem położyła trupem samego komendanta. Mieszczanki rzucały na wrogów kamienie, piasek, popiół, zalewały Prusaków ukropem. Inni podłożyli ogień. Pod wieczór powstańcy zwyciężyli: *„die Stadt befand sich in den Händen der Aufständigen"*. „Był to ponury i ciężki dzień dla Niemiec: dzień dotkliwy i upokarzającej klęski"...

Na tem urywa p. Bundschuh swoje fantastyczne horoskopy, nie oparte na żadnej logicznej podstawie. Jak zaś naiwnie autor przedstawia sobie owo rzekome przyszłe powstanie polskie dowodzi najlepiej opis obozu. Bez uwzględnienia postępów poczynionych w świecie w sztuce wojennej, każe autor Polakom tworzyć obozy na wzór dawnych czeskich taborów, a tylko w celu zmodernizowania ich nieco, wprowadza ogrodzenie z drutów kolczastych, zapożyczone od Japończyków.

Kronika teatralna.

W teatrze Sary Bernhardt w Paryżu wystawiono tymi dniami poraz pierwszy pięcioaktowy dramat wierszem Catulle'a Mendès'a pt. „La Vierge d'Avila". Bohaterką sztuki jest św. Teresa, założycielka zakonu Karmelitanek bosych, mistyczna wizyonerka, uważająca się za oblubienicę realną Chrystusa. Zapałał do niej miłością kapłan apostata Erwan, którego znów kocha maurytańska dziewczyna Ksimera, mająca być antytezą czystej dziewicy niebiańskiej, Teresy. Wzruszająca ma być scena, gdy św. Teresa natchnęła łagodnością duszę pobożnego tyrana, króla Filipa, dając mu kwiaty, poświęcone modłami zakonnic. Dominikanie i Jezuici, walczący o władzę na dworze Filipa, chcieli użyć św. Teresy za narzędzie swoich planów, ale zamiar ten nie powiódł się. Wreszcie św. Teresa, która przez chwilę czuła ziemską miłość do Erwana, zwycięża ją i wraca do miłości nieba, a gdy kapłana apostatę wiodą na stos, ona nie chce korzystać ze swojego prawa ułaskawienia, nadanego jej przez króla. Powiada, że lepiej będzie dla duszy Erwana, gdy ciało jego spłonie na stosie.

Piękny wiersz Mendès'a wywarł podobno wielkie na publiczności wrażenie, jednak prasa paryska zarzuca sztuce jednogłośnie brak szczerości. A dziwić się temu nie można. Ażeby stworzyć podobną postać, jak św. Teresa, trzeba albo ogromnej wiary, albo wprost geniuszu. Pan Catulle Mendès nie jest geniuszem, a wiary katolickiej, jako izraelita — oczywiście mieć nie może.

Paryski *Gymnase* znalazł żyłę złota w sztuce, zatytułowanej: „Mademoiselle Josette, ma femme", napisanej w czterech aktach przez pp. Pawła Gavaut i Roberta Charray.

Osią sztuki, wkraczającej najczęściej w dziedzinę farsy, jest testament, którym stara ciotka Josetty Dupré, wesołej, 18-letniej dziewczyny, zapisała swej siostrzenicy pół miliona franków, z warunkiem, iż przed rokiem ośmnastym wyjdzie za mąż. Josetta jest wesoła, wykształcona, dowcipna, nieco romansowa, ogółem idealna żona dla tego, którego pokocha. A pokochać musi... lub przynajmniej wyjść za mąż, gdyż w przeciwnym razie nie otrzyma ani grosza z pół miliona franków, leżących w depozycie. W chwili po niesieniu się zasłony, Josetta ma lat 17 i 41 tygodni; jeżeli w ciągu dwóch miesięcy nie znajdzie męża, posag jej przepada.

Znaleść nie byłoby trudno, gdyby nie to, iż Josetta już znalazła. Pewien młody Anglik, nazwiskiem Joe Jackson, zdobył jej serce przed rokiem niespełna. Oczywiście zdobył je za cenę swego. Josetta nie byłaby wcale przeciwną temu małżeństwu, gdyby nie ów fatalny testament! — Ślub ma być wzięty w przeciągu dwóch miesięcy, a tu Joe został wysłany przez swego ojca w podróż dookoła świata. Ukrytym zamiarem ojca było mu wybić z głowy małą Francuskę, pozoru zaś dostarczyła potrzeba obycia się w świecie i zwiedzenia wszystkich filij, jakie interes ojca ma na całej kuli ziemskiej. — Stary Jackson był nieugięty i Joe ruszył w podróż dookoła świata: jest teraz o tysiące mil od Paryża, i nawet, gdyby go telegraficznie wezwać do powrotu z narażeniem na gniew ojca, nie przybyłby na czas dla „technicznego niepodobieństwa". Dla tego musi być na razie wzięty poza nawias w projektach panny Josetty.

Pewnem jest dla niej jedno: to, że ślub wziąć musi. Drugiem, niemal tak samo pewnem, wydaje się jej, iż ostatecznie musi zostać żoną Joego. Jak pogodzić te sprzeczności? Josetta ma spryt Paryżanki i wybrnęłaby ze stu podobnych kolizyj. Cóż łatwiejszego, jak wziąć ślub? Weźmie go z wielką uroczystością, lecz małżonek będzie dla niej niczem więcej, jak tylko wujem. Nie zapomni ani na chwilę, że jego żona jest cudzą narzeczoną i rozwiedzie się z nią natychmiast po przyjeździe Joego z drugiej półkuli.

Któż będzie tym cieniem męża? Osoba jest pod ręką. Pan Ternay, wuj Ternay, bardzo miły i wesoły człowiek lat czterdziestu dwóch, który żyje w Paryżu, korzystając z niejednej rozrywki miasta, zna się dobrze z niejaką Myrianną, artystką z Variété, a który kocha po ojcowsku swą małą siostrzeniczkę Josettę. Na propozycyę siostrzenicy zgadza się p. Ternay dość chętnie, aczkolwiek w pierwszej chwili ma ochotę wyrzucić ją za drzwi. Kto wie, jak długo potrwa ta cała sprawa? Może i rok cały, a może tylko kilka miesięcy? Kto może wiedzieć, kiedy Joe przebłaga swego ojca dość długą nareszcie podróżą? Tymczasem trzeba „mieć żonę", trzeba zerwać z Myrianną, trzeba zrzec się nawyczek kawalerskiego żywota... Lecz czegoż się nie zrobi dla siostrzenicy! Zwłaszcza, gdy ta tłómaczy przyszłemu mężowi obowiązki w nader nieskomplikowanym kształcie. Ot, pewnego dnia, zaprowadzi ją p. Ternay do mera, potem na śniadanie, a potem będzie mógł wrócić do swego kawalerskiego mieszkania, do wszystkich nawyczek i nawet do Myrianny, jeżeli zechce. To formalność, nic jak formalność.

Tymczasem wuj uznaje, że byłoby to *shoking*. Trzeba już udawać, jak się należy. I pewnego ranka panna Josetta i pan Ternay są mężem i żoną wobec mera, wieczorem zaś jadą w podróż poślubną, do Szwajcaryi, zupełnie jak prawdziwi małżonkowie. P. Ternay likwiduje na razie swe interesa kawalerskich czasów i obiecuje sobie wrócić do nich po ukończeniu maskarady.

Rozpoczyna się szereg scen, przewyższających się nawzajem w drastycznym komizmie. Przedewszystkiem Josetta mówi wiele i mówi językiem panieńskim o wielu kwestyach, o których mężatka inaczej mówić powinna. Wynikają stąd rozliczne nieporozumienia, nad któremi dominuje zdziwienie towarzyszy podróży i pobytu w Szwajcaryi. Jeden z nich, młody elegant, usiłuje flirtować z Josettą i przypadkiem znajduje list Joego do narzeczonej, wnioskując stąd, iż młoda małżonka nie jest już wierną mężowi. Jest to niewierność fikcyjna, niemniej jednak pan Ternay, wiedząc za co go uważają, nie może czuć się zbyt zadowolonym ze swej roli.

Fałszywa podróż poślubna wywiera jednak i inne skutki. Oto p. Ternay zaczyna coraz bardziej ulegać czarowi swej żony, ta zaś, przebywając w towarzystwie wuja, zaczyna przekonywać się doń coraz bardziej. Powoli sytuacya zmienia się. Oboje zaczynają zbliżać się ku sobie, lecz powstrzymują się ciągle z powodu wyrzutów sumienia. Josetta ma na myśli biedaka Joego, p. Ternay — Myriannę, której przed wyjazdem składał tysiące przysiąg. W chwili, gdy Joe wraca, nadspodziewanie prędko, sytuacya staje się bez wyjścia.

W tej samej jednak chwili rzecz rozwiązuje się w sposób iście wodewilowy. Oto Joe w swej podróży dokoła świata został zmuszony do poślubienia... córki sułtana Zanzibaru, bodaj, że pod grozą śmierci. Przyjeżdża, aby usprawiedliwić się przed narzeczoną, że dwóch żon mieć nie może. Małżeństwo fikcyjne Jossetty staje się prawdziwem, a skoro Myrianna pozostaje na lodzie, przeto autorowie i jej obmyślili rekompensatę. Wydali ją za przyjaciela p. Ternay, który oddawna kochał się w przyjaciółce swego przyjaciela. Trzy pary złączone i sztuka się kończy.

Szkoda, że jeszcze jaki lokaj nie żeni się z jaką pokojówką, tak, jak to bywało w starych komedyach.

Trzecią wreszcie nowością teatralną w Paryżu jest sensacyjna trzyaktowa sztuka Jerzego Darien i Marcelego Lauras, pod tytułem „Biribi", wystawiona w teatrze Antoine'a. Co to jest „Biribi? Prasa paryska mówi, że tak w gwarze ludowej nazywa się piekło, stworzone przez francuskie sądownictwo wojskowe dla swoich skazańców pod skwarnem niebem Afryki. Owo piekło ma trzy oddziały: „Biribi", czyli kompanie karne; dalej „Bat d'Aff" (bataillon d'Afrique"), to jest bataliony afrykańskie, a wreszcie „Travaux publics", to jest roboty publiczne, oczywiście przymusowe.

Do batalionów afrykańskich bywają wysyłani pospolici zbrodniarze, którzy w gwarze ludowej nazywają się „joyeux", to jest „weseli"; na roboty publiczne skazywani są żołnierze przez sąd wojenny za ciężkie występki przeciwko karności wojskowej i mają nazwę „têtes de veau" to jest „głowy cielęce", a wreszcie do „Biribi" idą tak zwani „camisards", żołnierze, którzy popełnili lżejsze wykroczenia wojskowe. O tych skazańcach pisał dawniej Dubois Defaulle w książce p. t. „Camisard", „Peaux de Lapins et cocos", obecnie zaś — jakeśmy to wyżej wspomnieli — napisali na tem tle sztukę p. p. Jerzy Darien i Marceli Lauras. Jak widzimy, rzecz aktualna tylko dla Paryżan, tem aktualniejsza, że jeden z autorów, a mianowicie Darien, nosił przez cztery lata kapotę „camisard'a", to jest odbywał karę w „Biribi". Taki autor mógł dać autentyczne obrazy piekła wojskowego w Afryce.

Bohater sztuki, rekrut Jan Bernard, wydalił się z koszar bez pozwolenia, za co został uwięziony jako zbieg wojskowy i skazany do „Biribi". W drugim i trzecim akcie jest on już w Afryce. Ale postać Bernarda ustępuje na plan drugi, autorowie bowiem, dają widzom kinematograficzne obrazy z życia w Biribi. Rozmaitego wieku skazańcy przechodzą przez całą skalę znęcań się i tortur, które wstrząsają widzem, są bowiem rzeczywistością współczesnej doby. Aktorzy odegrali swoje role, jak zapewniają recenzenci paryscy, znakomicie, zwłaszcza odznaczył się dyrektor Gémier w roli „camisarda", który też długie lata spędził w kolonii karnej. Publiczność przyjęła sztukę z zapałem, a prasa, omawiając tę premierę, domagała się zgodnie zniesienia owych afrykańskich zakładów karnych, które są bezpożytecznym zabytkiem barbarzyństwa.

Mały feljeton.

Kolęda.

Na cichych polach śnieg połyska...
Złoto-błękitna noc grudniowa...
Chyli się szopa nędzna, niska —
Nad szopą tęcza kolorowa.

Wiodła tu gwiazda Trzechkrólowa
Widma, co z jasnych zeszły krwawie:
Białych ułanów z pod Grochowa
I kosynierów z pod Racławic.

Wiodła tu gwiazda tych, co wierni
Szli z rozpaczliwych echem pieśni:
Jeńców z Sybiru, dzieci z Wrześni,
Niosące krwawy wieniec z cierni
I od łez złote skargi słowo,
Przed Chrystusowy żłób... w noc ową...

Jan Pietrzycki.

Wypadki w Rosyi.

Twer. Członek rady państwa i były jenerał-gubernator Kijowa i Wołynia hr. Aleksy Ignatiew, został wczoraj zabity sześciu strzałami z rewolweru w chwili, gdy stał przy bufecie w lokalu zgromadzenia szlachty. Sprawcę, który usiłował odebrać sobie życie, ujęto.

Twer. Zamach na hr. Aleksego Ignatiewa, który roku ubiegłego brał udział w konferencyach nad wprowadzeniem nadzwyczajnych zarządzeń i w sprawie swobody wyznań, nastąpił w chwili, gdy jenerał z kilku członkami ziemstwa znajdował się w bufecie budynku Zgromadzenia szlachty, gdzie ziemstwo odbywa swe posiedzenia. Młody człowiek, który siedział na uboczu, przystąpił do hrabiego i dał do niego kilka strzałów. Kule trafiły Ignatiewa w serce i brzuch; w kilka minut potem hr. Ignatiew zmarł.

Jeden z członków ziemstwa rzucił się na mordercę, ale on wybiegł do przybocznego pokoju i tam strzelił do siebie dwukrotnie w pierś; jeden strzał chybił, a kula drugiego ugrzęzła w ramieniu. W kieszeni mordercy znaleziono kartę wstępu na posiedzenie ziemstwa, opiewającą na nazwisko Kulikowa. Sądząc z zewnętrznego wyglądu, należy on do sfery robotniczej.

Petersburg. Zamordowany wczoraj hr. Ignatiew urodził się w r. 1842. Był on jeneral-gubernatorem irkuckim a potem kijowskim. Przez śmierć jego ponosi stronnictwo reakcyjne dotkliwą stratę, mimo że Ignatiew ostatnimi czasy bardzo mało był czynnym u rządu, zajmując się jedynie pracą w ziemstwie. Zamach zdaje się być spóźnionym aktem zemsty ze strony rewolucyonistów.

Kostroma. Wynajmujący pewne mieszkanie, w chwili, gdy miano u nich przeprowadzić rewizyę, zabili komisarza policyi, zranili ajenta policyjnego, a sami zdołali uciec.

KRONIKA.

Lwów 24 grudnia.

Prezes Koła polskiego p. Dawid Abrahamowicz zapadł na influencę. Na szczęście dotąd choroba jest lekką.

Klub autonomistów. Zapraszam członków klubu autonomistów na posiedzenie, które odbędzie się w piątek 28 bm. o godzinie 9 rano w gmachu sejmowym. *Leon Piniński.*

J. Eksc. prezydent Tchórznicki powrócił z Wiednia do Lwowa i objął urzędowanie.

Wybory do Sejmu. Jako kontrkandydat p. Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego, kandydującego o mandat poselski do Sejmu z powiatu borszczowskiego, staje ze strony ruskiej dr. Hieronim Kalitowski, adwokat z Zaleszczyk.

Koncert hr. Skarbkównej. Dzienniki krakowskie zapowiadają na piątek 4 stycznia koncert tej wielce utalentowanej artystki, znanej nam dobrze z lwowskich estrad koncertowych. W krakow-

skim koncercie weźmie też udział p. Stanisław Głowacki, równie nam dobrze znany pianista.

Ludność Poznania wynosi według obliczenia z dnia 1. listopada 142.686 osób.

Odezwa Wielkopolan. W celu uczczenia pamięci ś. p. X. arcybiskupa Stablewskiego, dzielnego obrońcy sprawy narodowej i języka polskiego w Wielkopolsce, postanowiło grono obywateli polskich z Poznania zająć się zbieraniem funduszu „na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej". Komitet wybrany w tym celu, na którego czele stoi p. Adam Woliński, zwraca się i do rodaków w Galicyi z prośbą o poparcie jego usiłowań. Wszelkie datki należy nadsyłać na ręce X. proboszcza Kościelskiego, skarbnika komitetu, ul. św. Wojciecha l. 13, Poznań.

W odezwie swojej Komitet pisze:

Śmierć nieodżałowanej pamięci śp. X. Arcybiskupa Stablewskiego sprawiła społeczeństwu naszemu niepowetowaną stratę, budząc we wszystkich warstwach i wszystkich stanach serdeczny żal i głęboką boleść. W takiej chwili jaskrawo uwydatnił się nam obraz smutnej doli naszej. — Za cóż bo walczył śp. Najprzew. X. Arcypasterz? Jako nauczyciel religii w Śremie bronił wykładu języka polskiego, jako poseł był jednym z najżarliwszych szermierzy za naszą sprawę narodową i język polski, jako Arcybiskup bolał i cierpiał, że bolów naszych z powodu rugowania coraz dalszego języka polskiego uśmierzyć nie miał mocy.

Językowi naszemu, wypartemu z urzędów, sądów i szkół — obroną i ostoją stała się rodzina i dom polski. Każdy z nas niechaj będzie stróżem i obrońcą jego! Lecz brak środków do obrony. Obok gazety potrzeba książki, obrazka polskiego, polskiego elementarza, polskiego katechizmu. W każdym domu powinny się one znajdować — a czy są? Jeżeli ich brak — czas, aby brak ten zapełnić!

Ku temu celowi zmierza komitet i rozpisuje składki „Na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej".

Rodacy! któżby szczędził grosza dla kształcenia dziatwy naszej! Jako wieniec na trumnę ś. p. X. Arcybiskupa, biedny czy bogaty — niech każdy, w którym szczerze bije serce polskie, rzuci grosz swój ofiarny na fundusz ten „Stałego popierania nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej".

Wywiezienie komunistów zakopańskich z Krakowa. Sześciu młodych ludzi: Żebrowski, Witold i Kiejstut Jurgielewicze, Czarnomski, Glanc i Ławkowicz, uwięzieni za napad na kantor p. Modlińskiego w Zakopanem, zostali odstawieni w sobotę z Krakowa do Nowego Sącza, gdzie za parę tygodni odpowiadać będą za swój czyn przed sądem przysięgłych. Transport tych młodzieńców, przeważnie inteligentnych i z dobrych domów, bardzo smutne robił wrażenie. Skuci kajdanami po dwóch, a ustawieni w trzy pary, szli przez miasto z aresztów więziennych na dworzec pod strażą pięciu żandarmów z nasadzonymi bagnetami. Aż do odejścia pociągu umieszczeni zostali w klasie III, gdzie zasiedli przy jednym ze stołów, otoczeni żandarmami, za którymi zgrupowała się liczna publiczność, z litością patrząca na tych tak młodych, a tak już zepsutych doszczętnie młodzieńców, gotowych popełnić morderstwo, żeby dostać pieniędzy na hulankę. Żebrowski, w aksamitnej czapeczce malarskiej, siedział skuty ręka w rękę z Jurgielewiczem, który w mundurze i płaszczu studenckim siedział przy stole zadumany; czterej inni więźniowie: Glanc, Czarnomski, Ławkowicz i Kiejstut Jurgielewicz nie tracili dobrej miny i ze swobodną bezczelnością patrzyli na przypatrującą się im publiczność. Dopiero po godzinie 11, gdy pociąg gotował się już do odjazdu, żandarmi wyprowadzili ich i ulokowali w osobnym wagonie.

Z teatru. Dyrekcya teatru miejskiego zaangażowała do operetki dwie cenne siły: dawną ulubienicę naszej publiczności, panią Szupp, która po kilkuletnim pobycie na scenach zagranicznych wraca obecnie na scenę lwowską, i ulubionego komika, p. Lelewicza. Teatromani nasi przyjmą niewątpliwie wiadomość tę z żywem zadowoleniem.

Marya Rodziewiczówna, znana powieściopisarka, porzuca już pole dotychczasowej swej pracy, przekonawszy się sama dowodnie, że w ostatnich swych utworach nie mogła rozwinąć tego talentu, jaki okazała w „Dewajtisie" i że krytyka coraz ostrzej i surowiej wytyka jej niesłychane błędy, niedorzeczność pomysłów, brak studyów, radykalizowanie się przekonań, tak, że w ostatnich swych pracach zniżała się już prawie do granic pospolitej demagogii. Porzuca tedy niewdzięczne dla niej pole powieściopisarskie i zapisuje się do cechu dziennikarzy. Usłużni wydawcy ofiarowali się zaraz założyć dla niej pismo. Wychodzić ono zacznie już wkrótce w Warszawie pod tytułem *Polski Łan*, a ma na celu rozbudzać ku nowym ideom świat kobiecy. — Oby tylko nie ku demagogicznym!

Oryginalny obraz Rembrandta za 15 franków. Pisma londyńskie opowiadają o niezwykłym wypadku, jaki się miał zdarzyć niedawno. Oto pewien służący kupił niedawno na tandecie stary, zniszczony obraz za 15 franków. Obecnie okazało się, że jest to oryginalny obraz Rembrandta, bardzo wysokiej wartości. Za obraz ten ofiarowano owemu służącemu 880.000 franków.

Włamanie się. Dzisiejszej nocy włamali się złodzieje do biura korporacyi ślusarzy przy ul. Skarbkowskiej l. 27. Usiłowali tam rozbić kasę ogniotrwałą, wyświdrowali w niej kilka dziur, zagwoździli zamki, lecz kasy otworzyć nie zdołali; zabrali tylko podręczną kasę z kwotą kilkunastu złotych.

Cztery dni na pływających belkach. Nie każdy autor sensacyjnych opisów strasznych losów rozmaitych rozbitków wymyśleć zdołałby zdarzenie tak straszne, jakie rzeczywiście miało miejsce niedawno niedaleko zachodnich wybrzeży Amerykańskich na wodach oceanu Spokojnego. Bohater tego zdarzenia, sternik rozbitego okrętu „Twilight", nazwiskiem Clyve, powrócił właśnie do Willmington, skąd okręt jego wyruszył; a opowiadanie jego potwierdzają w zupełności urzędowe relacye północno-amerykańskich władz marynarskich. „Twilight" z bardzo ciężkim ładunkiem twardego drzewa wyruszył w podróż z Willmington do Filadelfii. Płynął w kierunku na południe wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki. Podróż trwała już przez cały tydzień, gdy nagle pewnego dnia przedpołudniem zerwał się straszny cyklon na morzu. Ciężko obładowany parowiec nie mógł oprzeć się olbrzymiemu wichrowi i rzucany przezeń po kolosalnych falach, natknął się na skałę podwodną. Przez wybitą wielką dziurę jęła do okrętu napływać woda z błyskawiczną szybkością. Ponieważ już przedtem bałwany zerwały zawieszone nad pokładem łodzie ratunkowe, więc załoga, ratując się, schroniła się na maszty. Marynarze poprzywiązywali się do masztów. Wtem gwałtowny napływ wody połamał maszty jak źdźbła słomiane i porwał poprzywiązywanych do nich ludzi w głębiny. Sternik Clyve, który ostatni opuścił pokład, nie zdołał się jeszcze przywiązać do masztu. Fala porwała go i rzuciła na kilka pływających belek z okrętu. Jakkolwiek Clyve, padając na belki, zranił się dość poważnie, to jednak miał on jeszcze tyle siły, że uchwycił dwie belki i zdołał je tak nakierować, że miał je pod pachami i w ten sposób z ich pomocą mógł utrzymywać się na powierzchni wody. Tymczasem burza uspokoiła się, i rozbitek, przyszedłszy jako tako do siebie, miał możność zoryentować się w sytuacyi. Z zatopionego okrętu nie było nic widać na powierzchni; pływało tylko po wodzie mnóstwo belek, któremi fale rzucały jak zapałkami. Teraz Clyve spostrzegł, jak łatwo pierwszy lepszy z tych setek belek mógł rozbić mu głowę podczas burzy. Tymczasem fale uspakajały się coraz to zupełniej i niebezpieczeństwo mijało. Od tarcia belek miał Clyve pod pachami duże rany i nie mógł już dłużej pozostać w pozycyi, w której pływał dotąd. Zsunął więc obydwie swoje belki ciasno razem, zdjął ze siebie bluzę i związał nią te dwie belki w rodzaj tratwy, na której usiadł.

W tej pozycyi mógł dość znośnie pływać po powierzchni wody. Lecz w miarę im zupełniej uspakajały się fale, poczęły dookoła tratwy Clyvego zbierać się rekiny. Clyve musiał na wąskiej swojej tratwie położyć się na wznak, by w ten sposób możliwie ratować się przed pożarciem przez rekiny. Z powodu jednak, że malutka i bardzo wąska tratwa ogromnie chwiała się na wodzie, leżąca pozycya tak zmęczyła Clyvego, iż w zupełnej apatyi napowrót usiadł na tratwie, zdecydowany dać się pożreć rekinom. Lecz rekiny po kilkugodzinnem oblężeniu tratwy pozostawiły wreszcie nieszczęśliwego w spokoju i odpłynęły. Ciepła i cicha noc podzwrotnikowa pozwoliła mu nieco wytchnąć. Nazajutrz najprzykrzej męczył go głód i pragnienie. Mimo najpilniejszego baczenia, Clyve nie mógł spostrzedz jakiegoś okrętu. Tu i ówdzie pokazywała się gdzieś daleko na horyzoncie chmura dymu; lecz zawsze w odległości tak wielkiej, iż Clyve nie miał sposobu zwrócić na siebie uwagi tak daleko płynących okrętów.

Drugi i trzeci dzień przeminął w tem strasznem, monotonnem oczekiwaniu powolnej śmierci. O brzasku czwartego dnia Clyve spostrzegł światła zbliżającego się doń wielkiego okrętu. Okręt płynął w takim kierunku, że Clyve tylko ostatkiem sił zdołał usunąć się z linii jego kursu, a tem samem uratować się od niechybnego rozbicia o ściany okrętu. Dwaj majtkowie stojący na straży na pokładzie tego okrętu usłyszeli słabe wołania rozbitka, dali sygnał alarmowy i wkrótce kolos żelazny zatrzymał się. Z okrętu spuszczono dwie szalupy. Przy świetle reflektorów elektrycznych wyszukali majtkowie rozbitka i przenieśli go na pokład okrętu, gdzie starannem pielęgnowaniem lekarze przywrócili mu siły.

Gwiazdka na poczcie. W wykładowej sali głównego gmachu pocztowego u stóp olbrzymiej choinki odbył się w sobotę 22. b. m. uświęconym lat poprzednich zwyczajem rozdział darów, ofiarowanych przez p. Prezydentową Janową Seferowiczową dla dziatwy biednych sług pocztowych. Sześćdziesiąt dziatek płci obojga otrzymało ciepłe sukienki, zabawki i łakocie — miłe wspomnienie święta milusińskich. W uroczystości wzięło udział grono urzędników pocztowych, tak panów jak i pań.

Odznaczenia. W uznaniu gorliwej i wydatnej działalności w wykonawczej służbie administracyi politycznej, nadał Cesarz ordery Żelaznej Korony III. klasy: radzcy namiestnictwa i kierownikowi starostwa w Samborze, Bogusławowi Kieszkowskiemu, i radzcy namiestnictwa i kierownikowi starostwa w Buczaczu, Ludwikowi Bernackiemu; krzyże kawalerskie orderu Franciszka Józefa: staroście w Czortkowie, Stanisławowi Bodnarowi, staroście w Chrzanowie Józefowi Rudzkiemu, staroście w Dobromilu, Pawłowi Derenowskiemu; staroście w Brzozowie, Walentynowi Bielawskiemu; staroście w Husiatynie Eugeniuszowi Dültzowi; kierownikowi starostwa w Sokalu, st. komisarzowi powiatowemu, Justynowi Szwedzickiemu; kierownikowi starostwa w Nisku, st. komisarzowi powiat. Adamowi Leszczyńskiemu; sekretarzowi namiestnictwa Władysławowi Kowalikowskiemu w Bochni; sekretarzowi namiestn. Alfredowi Łęczyńskiemu w Gródku i st. komisarzowi powiatowemu Edmundowi Stanisławskiemu w Złoczowie; złote krzyże zasługi z koroną: komisarzowi powiat. w Zakopanem, Kazimierzowi Madurowiczowi i komisarzowi dr. Bronisławowi Kwiatkowskiemu we Lwowie.

Wspomnienie z życia Beethovena. Na rogu ulicy „Kaerntnerstrasse" i „Johannesstrasse" w Wiedniu stoi stary dom, w którym w r. 1824, w jesieni mieszkał Beethoven. Nie był on jeszcze wtedy sławnym, ani bogatym, a licząc się z groszem, wynajął nie duży pokoik od właścicielki domu, wdowy pani Maryi Kletscha. Wdowa z początku nie chciała mu nawet wynająć mieszkania, podejrzywając go, że czynszu nie będzie płacił i że Bóg wie, co to za „indywiduum," ten jakiś Beethoven. Wreszcie zgodziła się. Beethoven sprowadził się, a mając fortepian, zaczął wygrywać na nim swoje prześliczne utwory. Niestety, niemuzykalna wdowa przeraziła się i narzekając na „spuchnięcie uszu" swoich innych lokatorów, zabroniła grać muzykowi. Wszakże pewnej pięknej majowej nocy Beethoven nie mógł „wytrzymać" i z całem wirtuozostwem i mistrzostwem zaczął z instrumentu wydobywać tony. Tego miała wdowa dosyć, zawołała córkę i rzekła jej:

— Nanetto, idź i wypowiedz od jutra temu zwaryowanemu muzykowi mieszkanie...

Nanetta wykonała polecenie i Beethoven na drugi dzień znalazł się przez „przeklęte tony" na ulicy...

Jakie rumieńce pokrywałaby twarz tej wdowy i jej córki, gdyby mogły one ocenić rozmiary zbrodni, jaką popełniły!

Temperatura dnia 22 grudnia o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej — 17, we Lwowie —19, w Tarnopolu —20, w Czerniowcach —22, w Wiedniu — 12, w Salcburgu —11, w Gracu —3, w Pradze —13, w Tryeście 0, w Abbazyi + 3, w Raguzie + 11, w Budapeszcie —7, w Berlinie —10, w Hamburgu —8, w Monachium —11, w Zurychu —8, w Genewie —4, w Lugano —4, w Anglii + 5, w Paryżu —6, w Biarritz + 2, w Nizzy + 3, w północnych Włoszech —1, we Florencyi + 3, w Rzymie + 4, w Neapolu + 6, w Palermo + 7, w Madrycie — 6, w Sztokholmie + 1, w Petersburgu —1, w Wilnie —14, w Warszawie —20, w Moskwie —16, w Kijowie — 12, w Odessie —7, w Serajewie — 4, w Belgradzie —2, w Bukareszcie —6, w Sofii — 4, w Konstantynopolu + 6, w Atenach + 7. (Temperatura według Celsiusza).

Zmarli. Rypsyna z Rosochacki-Moysów baronowa Kaprowa zmarła w Wiedniu dnia 21 bm.

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano — 6 R. w poł. — 2 R. Bar. 776. Spada. Pochmurno.

Jaś.

— Teraz więc, Jasiu, będziesz już wiedział, dlaczego bociany odlatują na zimę do ciepłych krajów?...

— Będę mamusin?

— No, dlaczego?

— Bo i tamci ludzie chcą mieć także dzieci.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś nie ma przedstawienia. — We wtorek popołudniu „Boccacio," wieczorem „Królowa Tatr." — We środę popołudniu „Ach to Zakopane," wieczorem „Lalka". — We czwartek popołudniu „Kontroler wagonów sypialnych," wieczorem „Opowieści Hoffmana". — W piątek „Pani Walewska". — W sobotę popołudniu „Chory z urojenia" Moliéra, wieczorem „Ewangeliman".

Filharmonia lwowska. W połowie stycznia wielki koncert Eryka Schmedesa, nadwornego śpiewaka opery wiedeńskiej.

Repertuar teatru krakowskiego. W wtorek „Zimowa opowieść," dramat Szekspira.— We środę popołudniu „Sherlock Holmes," wieczorem „Wesołe kumoszki z Windsoru." — We czwartek „Wesele" Wyspiańskiego. — W piątek teatr zamknięty. — W sobotę „Betleem polskie" Rydla. — W niedzielę popołudniu „Rewizor z Petersburga," komedya Gogola, wieczorem „Betleem polskie". — W poniedziałek „Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej. — We wtorek popołudniu „Pan Jowialski" Fredry, wieczorem „Ponad siły," sztuka Bjoernstjerne-Bjoernsona.

Colosseum Hermanów. Od 16 do 31 grudnia. Największe i najpiękniejsze atrakcye świata! Mes Soeurs Peres, najznakomitsi ekwilibryści na wolno stojących drabinach. — Classicum Gnatuor, wspaniała scena starowenecka.—Hubertus Comp., idylla leśna. — La Laure, ekscentr. gwiazda Paryża. — 10 nowości! W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Artur Gruszecki.** „*Bojownicy*". Powieść. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1907. Stronic 525.

Utwór ten nie przysporzy autorowi laurów, jest bowiem kupieckim wyrobem, w którym opracowano rzeczy aktualne w sposób powieściowy jedynie tylko dlatego, że doświadczenie uczy, iż towar aktualny ma większy odbyt. Ale ani włożono weń studyów, ani nawet nie zadano sobie pracy obmyślenia programu. Przez 523 stronic przedstawia nam autor socyalistów, operujących na bruku warszawskim w ciągu ostatnich dwóch lat, jako bohaterów, pełnych szlachetnego uniesienia i jako patryotów pracujących nad odbudowaniem Polski. Dopiero na 524-ej stronicy dowiadujemy się, że oni ani bohaterami nie są, ani o odbudowaniu Polski nie myślą, ale zmierzają jedynie do bandytyzmu i rabowania cudzego mienia; sam autor nabiera do nich obrzydzenia, bohaterowi powieści każe z nimi zerwać i na 525-ej stronie powieść się kończy. Żeby autor był człowiekiem dowcipnym, to można byłoby posądzać go, że chciał sobie zażartować z publiczności. Że zaś jest rozwlekłym i nudnym gadułą, przeto powstaje podejrzenie, iż znudził się sam opowiadaniem banalnych przygód dwóch par socyalistycznych i znudziwszy się, powieść zamknął.

Rzecz rozpoczyna się w Krakowie. Panna Olga Borwiczówna, studentka uniwersytetu, zakochana w Bolku Żaleckim, i panna Helena, także studentka, zakochana w jakimś drugim studencie, niejakim Walczaku, zapisują się do socyalistów dlatego, że oni do nich należą — a zapisawszy się zaczynają robić to, co zwykle socyalistki robią: przewożą przez granice odezwy, proklamacye i broszury socyalistyczne. Potem przenoszą się wszyscy czworo do Warszawy i tam przy pomocy miejscowych socyalistów zakładają w piwnicy jakiegoś domu, nad brzegiem Wisły, drukarenkę i w niej drukują socyalistyczne pisemko *Wolność*. Pisemko to, które oni naprzemian we czwórkę składają i wytłaczają na maszynie, robi ogromną furorę w sferach socyalistycznych, a wielką irytacyę w moskiewskich, z tego powodu, że prawie w każdym numerze jest opublikowany jakiś tajny dokument, skradziony bądź z kancelaryi jenerał-gubernatora, bądź z biura żandarmeryi rosyjskiej. Jakimże sposobem ta czwórka, redagująca ową *Wolność*, dochodzi do posiadania tych dokumentów? Oto panna Borwiczówna zamieszkała w Warszawie u swojej ciotki, pani Sudkiewiczowej, żony Moskala, jednego z wyższych urzędników kancelaryi jenerał-gubernatora. Wujostwo, mając ją za porządną panienkę i nie przypuszczając wcale, żeby należała do organizacyi socyalistycznej, nie tają się przed nią z niczem, a p. Sudkiewicz przy obiedzie opowiada codzień o rozmaitych wypadkach i zdarzeniach w kancelaryi gubernatora. Nadto u państwa Sudkiewiczów bywa jeden z wybitnych oficerów żandarmskich, rotmistrz Bolcew, i, zakochawszy się po uszy w pannie Oldze, chce się z nią żenić, a tymczasem opowiada jej wszystkie kłopoty, na jakie go naraża spisek socyalistyczny. Panna Olga wszystkie te wiadomości skrupulatnie zanosi do redakcyi „Wolności", a tam układają z nich artykuły. Niedość na tem: panna Olga dobiera się do szaf bibliotecznych swojego wuja, robi tam jeneralny skład rewolwerów, bomb i nabojów i naraża swoich wujostwa, którzy ją przygarnęli z ogromną życzliwością, na to, że mogli pójść na szubienicę, a już co najmniej na Sybir. Pewnego dnia wreszcie, żandarmerya i tajna policya wpada na trop tego, że Borwiczówna jest jedną z najniebezpieczniejszych socyalistek. Żandarmi robią rewizyę, znajdują w gabinecie dygnitarza kancelaryi generał-gubernatora bomby i rewolwery, następują omdlenia, płacze, załamywania rąk i inne akty rozpaczy — ale autor nie rozwodzi się nad nimi, lecz każe coprędzej pokojówce wybiedz na ulicę i przestrzedz Borwiczównę, aby nie wracała do domu, bo tam na nią żandarmerya czeka. A ponieważ w tym samym czasie Żalecki nabrał wstrętu do socyalistów, przeto oboje porzucają Warszawę i w przebraniu zmykają za granicę.

Na tem kończy się powieść niesłychanie nudna, ogromnie monotonna, nie oparta na najmniejszych obserwacyach, nie przynosząca ani jednego, choćby maluczkiego jakiegoś nowego szczegółu czy to z życia socyalistów, czy z działania żandarmeryi rosyjskiej i tajnej policyi, a sklecona tylko ze starych rupieci znanych już bądźto z relacyj dziennikarskich, bądźto z rozpraw sądowych. Można prawie na pewno twierdzić, że autor ani jednego socyalisty warszawskiego nie widział, na żadnem zebraniu rewolucyjnem w Warszawie nie był, ani jednej tajnej drukarni nie oglądał, i że cała powieść powstała w czterech ścianach jego gabinetu, a składa się jedynie z miernych reminiscencyj jakie pozostały w jego umyśle z czytanych już innych powieści, osnutych na tle życia socyalistów i rewolucyonistów warszawskich. W tamtych mogły być, nawet i zapewne bywały, postaci żywe, z krwi i mięsa; przefiltrowane jednak przez umysł autora, odbite w źwierciedle jego pamięci przy bladem świetle jego wspomnień, robią one wrażenie jakichś suchotniczych szkieletów, raczej podobnych do papierowych szablonów krawieckich, niż do młodych i żywych ludzi. To też czytelnik z ogromnem znudzeniem czyta tę powieść, a przeczytawszy, powiada sobie: „To wszystko nieprawda". Ostrzejszego sądu o powieści wydać nie można.

* **Theresita** (Marya Krzymuska). „*Stygmat*" Warszawa. Nakład Jana Fiszera. 1906. Stronic 117.

Są to z ogromną siłą słowa i wielką barwnością opisane rozmaite ekstazy erotyczne młodej, chorej na histeryę kobiety. W tych ekstazach doznaje ona rozmaitych wizyj, dochodzi w nich prawie do szaleństwa, budzi się z nich jednak zawsze w porę, żeby w odpowiedniem miejscu rozdział zakończyć, lub zamknąć nowelę. To też szczere one nie są: a raczej, żeby dokładnie się wyrazić: nie są to protokoły szpitalne, spisywane przez patologów, studyujących chorobliwe objawy duszy ludzkiej, ale produkta pracy twórczej, z pretensyami artystycznemi. Z tego właśnie względu wypowiedzieć musimy żal, że p. Marya Krzymuska, która, jak z tej książki sądzimy, posiada niezaprzeczenie potężny talent literacki, zamiast go obrócić na pożyteczne cele dla ludzkości, więc zamiast napisać jakąś książkę o życiu i działalności ludzi zdrowych i prawidłowych, obraca go na studyowanie histeryi w jej najsmutniejszych objawach erotycznych. Taka histerya nie podoba się nikomu, nawet erotomanom, na mocy tego samego prawa fizyologicznego, na mocy którego zgniłe mięso nie podoba się nawet żarłokom. Nauka z tych jej studyów także nie odniesie żadnego pożytku, bo jej badania nie są umiejętnie prowadzone, a w pierwszym lepszym podręczniku psychiatrycznym w rozdziale o histeryi znajdziemy o wiele więcej materyału kazuistycznego, niż w całym tym tomiku, który autorka opracowała z nakładem niezaprzeczenie bardzo wielkim i talentu, i fantazyi. Szkoda więc tego talentu na rzecz tak marną.

Z izby sądowej.

Nowy Sącz 22 grudnia.

(Adwokat przed sądem).

Obrońca w sprawach karnych i koncypient w biurze jednego z adwokatów w Nowym Sączu dr. Adam Kasparek zajął się był swego czasu sprawą włościan Jana i Emilii Lenartów z Podrzecza, przeciw którym Dorota Dylchowa prowadziła egzekucyę celem uzyskania pożyczonej im sumy 1000 koron. Dr. Kasparek otrzymał od Lenartów 380 koron i miał im wyrobić pożyczkę na spłacenie rzeczonego długu. Dr. Kasparek rzeczywiście w krótkim czasie wyrobił Lenartom pożyczkę w sądeckiej Kasie zaliczkowej, która wypłaciła tę sumę p. Kasparkowi, jako rzekomemu pełnomocnikowi Lenartów, celem spłacenia Dylchowej i przedłożenia kwitu ekstabulacyjnego, który miała zeznać Dylchowa przy wypłaceniu jej długu, a który zobowiązał się oskarżony wydać Kasie zaliczkowej najdalej do 3 dni. Oskarżony użył jednak tych pieniędzy na swoje potrzeby i wyjechał do Wiednia, a następnie do Kołomyi. Dylchowa, nie otrzymawszy swojej pretensyi, prowadziła dalej licytacyę na realności Lenartów, która też została sprzedaną na pokrycie pretensyi Dylchowej. Z tego powodu Lenartowie zaskarżyli dra Kasparka o oszustwo i sprzeniewierzenie i właśnie teraz odbyła się przeciw niemu rozprawa przed tutejszym trybunałem orzekającym.

Oskarżony tłómaczył się, że nie miał zamiaru przywłaszczenia sobie tych pieniędzy. Starał się o pożyczkę w sumie 4.000 koron w Wiedniu, tudzież zwrócił się o odpowiednią kwotę do swojej zamężnej siostry, p. Olgi Godlewskiej w Paryżu, celem zaspokojenia Lenartów. Oskarżony oświadczył również, że uważa trybunał orzekający za niekompetentny do sądzenia tej sprawy, która zdaniem, jego, należy do sądu przysięgłych.

W toku rozprawy przewodniczący skonstatował, że siostra oskarżonego p. Godlewska, przysłała do sądu 2.400 koron na pokrycie pretensyi Lenartów. Zarzut niekompetencyi, podniesiony przez obwinionego, trybunał odrzucił i przeprowadził rozprawę, po której wydał wyrok uwalniający podsądnego od winy i kary.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 grudnia.

(Z.) Przyjazna tendencya, która w ostatnich dwóch dniach zapanowała na targu, utrzymała się i dzisiaj, gdyż doniesienia giełd zagranicznych brzmiały stosunkowo dosyć pomyślnie, a stosunki procentowe nigdzie nie zaostrzyły się. Mimo to jednak rozmiary obrotów na giełdzie tutejszej skurczyły się dziś znacznie, gdyż ze względu na to, że nastaje przerwa świąteczna, tudzież, że rozpoczyna się już likwidacya rachunków ultimowych, spekulanci uznają za właściwe nie wdawać się w nowe transakcye, lecz zająć stanowisko wyczekujące. Mimo to jednak przeważna część walorów uzyskała zwyżki kursowe, jakkolwiek nie bardzo znaczne. — Renta węgierska podniosła się znacznie w kursie, co przypisać należy ogłoszonemu właśnie, bardzo korzystnemu wykazowi stanu węgierskich kas państwowych. Na kurs zaś austryackich walorów państwowych dodatnio oddziaływa polepszający się stale bilans handlu zagranicznego naszej monarchii.

Wobec tego, że Rada państwa rozeszła się na ferye świąteczne, nie załatwiwszy układu, zawartego między rządem a „Lloydem" musiał rząd zawrzeć z tem przedsiębiorstwem umowę prowizoryczną, mającą obowiązywać przez styczeń 1907. W przeciwnym razie bowiem „Lloyd" nie byłby obowiązany od Nowego Roku odbywać przepisanych podróży ani do przewozu poczty do krajów zamorskich. Wedle zawartej obecnie prowizorycznej umowy, ma „Lloyd" odbywać w styczniu 1907 wszystkie te podróże, jakie przewidziane są w niezałatwionym jeszcze przez Izbę poselską układzie i przewozić pocztę, a za to rząd pod własną odpowiedzialnością wypłaci mu za styczeń podwyższoną subwencyę.

§ **Sprawozdanie tygodniowe** Izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 17 do 23 grudnia bez opłaty akcyzowej. Waluta koronowa.

Pszenica 7.75—7.95, żyto 5.90—6.10, jęczmień browarny 6.70—7.00, pastewny 6.30—6.60, owies 7.10—7.30. Groch do gotowania 8.75—9.35, pastewny 6.50—7.00, bobik 6·00—6.25, wyka 5·60—5.85. Koniczyna czerwona 50.00—57.50, biała 32.50 do 45.00, szwedzka 60.00—70.00, rzepak zimowy 13.25 13.50, lnianka 11.00—11.25, nasienie lniane 10.75 do 11.00, nasienie konopne 10.00—10.25, tymotka 21.00—24.00. Chmiel 95.00—115.00. Nafta zwykła 16.50—17.50, salonowa 18.50—19.50. — Spirytus 10.000 literpercent gotowy, kontyngentowany 40.25 do 40.50.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Berlin. *Nordd. Alg. Ztg.* donosi odnośnie do pogłosek o zażądanem rzekomo przez Papieża Leona XIII, z okazyi obrad Reichstagu nad przedłożeniem wojskowem, świętopietrza w kwocie pół miliona franków, że w berlińskich sferach kompetentnych nic o tem nie wiadomo.

(Depesze popołudniowe).

Berlin. Komunikat urzędowy w *Nordd. Allg. Ztg.* opiewa jak następuje: „Od dłuższego czasu, powołując się na ustęp rękopisu nieogłoszonej jeszcze części pamiętników Hohenlohego, zajmuje się prasa twierdzeniem, jakoby w r. 1893 z okazyi będącego wówczas na porządku dziennym parlamentu niemieckiego przedłożenia wojskowego, Papież Leon XIII otrzymał od Niemiec podarunek w kwocie pół miliona franków, lub też domagał się go. Zarządzono w tej sprawie dokładne dochodzenia nietylko za pomocą zbadania urzędowych aktów, ale także przez indagowanie tych osób, które musiałyby wiedzieć o tem, gdyby ta pogłoska była prawdziwa. Po ukończeniu tych dochodzeń stwierdzamy, że nie znaleziono nawet cienia czegoś podobnego, aby Papieżowi Leonowi XIII wśród przytoczonych okoliczności Niemcy ofiarowywały lub rzeczywiście doręczyły jakąkolwiek sumę pieniężną.

Również co do rzekomego wyrażenia przez Papieża życzenia w tym kierunku nie można było nic takiego stwierdzić. Prawdą jest tylko, że podczas jubileuszu zmarłego papieża, stosownie do powszechnego zwyczaju, przestrzeganego przez inne także dwory i rządy, przesłano Papieżowi podarek w formie wykonanego artystycznie ozdobnego przedmiotu".

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Restauracya. Pokój do śniadań. Wszelkie wina i delikatesy.

Przyjechali dnia 24 grudnia. J. Doboszyński z Wiednia. J. Owsiak z Dory. K. Kösner z Wiednia. B. Biesiadecki z Tustawic. S. Skawiński z Żuczki. J. Schelling z Zaczernia. R. Menzeles z Wiednia. N. Rauch ze Starej Soli. N. Rosental z Borysławia. K. Jaworski z Tłumacza. O. Serog z Wiednia. R. Bukowski ze Lwowa. R. Mitter z Tarnopola. A. Schillerowie z Żółkwi. E. Grabowiecki z Gródka. Z. Krotowski z Poddniestrzan. A. Fabrycy z Odessy. M. Rzepecki i L. Łukaszewski z Buczacza.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 24 grudnia. Dr. J. Niementowski z Lanckorony. Z. Cieński z Bukowiny. W. Szymański z Zagórza. E. Pruszanowski z Rosyi. P. Łozińska z Krakowa. Pp. Kudelscy z Trembowli. M. Kęplicz z Zakopanego. W. Strzelecki z Nowoszyc. K. Jaworscy z Ostrowczyka. F. Passakosowie z Witelówki. R. Lossow z Borysławia. N. Wiesenberg z Żurawna. L. Chamiec z Warszawy. P. Axelrad z Czerniowiec. H. Mierzewski z Dubowic. Pp. Dębiccy z Turki nad Stryjem. Dr. Zetterbaum z Bołszowiec.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 24 grudnia. (Giełda towarowa). Cukier 20·60—20·70. Spirytus bez zmiany. — Nafta galicyjska bez zmiany.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 24 grudnia.

5% renta rosyjska na r. 1906 85·10.

Warszawa. Listy zastawne 4½% Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem 88.60. Listy zastawne 5% m. Warszawy — 89.60, zaś 4½% — 82.80.

Lwów 24 grudnia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.— Kolej dworsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 579 — do 586.— Banku hipotecznego po 400 kor 565 00 do 574 00 Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —. do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 300 — do 400·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 160·—

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem. 110 30 do 111 00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100 50 do 101 20. 4 proc. los. w 60 lat 97 20. do 97·90. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 100 70 do 101·40. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 97.70 do 98·40.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98 80 do 00·00, 4 proc los w 41 i pół latach 98·80 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 97 90 do 98·60.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 99 00—99 70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102 00 do —·—. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 100.70 do 101 40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 97 20 do 97 90. Pożyczki kraj. z r 1873 proc. —.— do —.— 4 proc. z 1893 r. 98 00—98 70. miasta Lwowa 4 proc 95 80 do 96 50, 4% bez podatku (konwers.) 98 10 98.80,

Monety. Dukat cesarski 11·24 do 11·40. Napoleondor 19·00 do 19·25 100 ruble rosyjskie papierowe 253·00 do 255 00. 100 marek niemieckich 117 40 do 117·90

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8·40***, 5.50*, 8·45, 5.25, 9.30*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.50, 10,30*
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.00, 11.25, 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20*, 1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 10.55.
Ze Stanisławowa: 8.05
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.37.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.55.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **8.25, 12.45*, 2.45**, 4.05*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.35, 11.15, 6.37* 10.08*.
Do Czerniowiec. **2.51, 2.40**, 6·15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 7·25.
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.30.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*.
Do Ławocznego: 7.30, 2.30, 6.25*.
Do Bełzca: 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa Husiatyna: 9.10*.
Do Janowa 3.14.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Wykaz
listów zastawnych
gal. Towarzystwa kredytowego ziemskiego
wylosowanych w dniu 14 Grudnia 1906 roku:
4%-ych dawnych przy 128 em losowaniu w sumie **56.000 zł. a. w. (112.000** Koron).
4%-ych 41-letnich przy 51-em losowaniu w sumie **28 900 zł. a. w. (57.800** Koron.)

W. A. 4%

Ser. I. á 10.000 fl. 498.

Ser. II. á 5.000 fl. 512 648.

Ser. III á 1.000 fl. 10694 10735 10803 12293 12349 12721 13305 13647 13865 13873 14266 14870 15186 15280 15558 15602 15989 16288 16474 17064 17217 17325 18300 18373 18500 18881 18897 19183 19896.

Ser. IV. á 500 fl. 4852 5490 6118 6185 6887 7140 7168 7463 8139 8216 8295 8476 8486.

Ser. V. á 100 fl. 13592 17520 17560 20520 21197.

41-letnie 4%

Ser. I á 10.000 fl. 83.

Ser. II. á 5000 fl. 234.

Ser. III. á 1.000 fl. 141 207 [illegible] 664 695 1011 1361 1507 1631 1762 2114 2127.

Ser. IV. á 500 fl. 352 462

Ser. V. á 100 fl. 217 694 1011 1120 1262 1319 1428 1470 1765.

Dyrekcya galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego wzywa niniejszem posiadaczy powyższych listów zastawnych, aby się po wypłatę kapitału od dnia 30 czerwca 1907 począwszy, do kasy tegoż Towarzystwa we Lwowie zgłosili, ponieważ procentowanie tych listów zastawnych z oznaczonym dniem ustaje, i gdyby kupony za dalszy czas wypłacone były, będą przy odbieraniu kapitału potrącone.

We Lwowie, dnia 14 grudnia 1906.

Przedruk nie będzie płacony.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.